

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Janusz Anderman

Gra na zwłokę.

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

– spadaj – powiedziałem i nawet nie zwolniłem; zresztą szedłem tak wolno – te szagi były niepewne i gdybym zwolnił, to raczej musiałbym się zatrzymać w miejscu. A tego nie chciałem – tego obawiałem się najwięcej.

Ona szła jeszcze jakiś czas – jakieś trzy minuty drogi za mną; była ubrana w kabaretowy strój – dziesiątki kabaretowych spódnic, sukienek, chusta z frędzlami, które przedłużały krople wody, i jakieś czterdzieści lat. A może też czternaście.

Przed chwilą, gdy poruszałem się wśród liści, odmierzając szagi, znalazła się znienacka obok mnie.

– panie ładny, pojedziesz niezadługo, za granicę niezadługo daleką pojedziesz, bo czeka cię wielka podróż, panie ładny.

– spadaj – powiedziałem i nawet nie zwolniłem; zresztą szedłem tak wolno – te jej słowa zabrzmiały jak oczywista prowokacja – tak je od razu – w mgnieniu, zrozumiałem, i ona chyba też spostrzegła, że to był niezły nietakt proponować wojaże za jakąkolwiek granicę takiemu facetowi jak ja. Poruszającemu się szeleszczącymi i powolnymi szagami wśród mnogości liści. Musiała to pojąć, bo oddaliła się pośpiesznie, nie wyciągając dłoni po blaszkę. Ani nie rzucając mi pod nogi tych paru cygańskich słów pożegnania. Na przykład: kij ci w mordę, kutafonie.

Zauważyła, że tak najbardziej to wyglądam na faceta, który może znajdzie się kiedyś w Tatrach słowackich – i to w dość konwencjonalnym pasie konwencyjnym.

Skryła się w dreszczach strug wody, podbiegając .do jakiegoś skołowanego przez czterdzieści lat wyteżonej i wydajnej pracy urzędnika magistratu albo poczty dzielnicowej, czynnej od godziny dziesiątej do szesnastej; panie ładny, pojedziesz niezadługo, za granicę daleką niezadługo pojedziesz, bo czeka cię wielka podróż, panie ładny; wyciągnęła, dłoń o zwinnych palcach, a on gorączkowo zaczął przeszukiwać wszystkie kieszenie – te jego przebogate mennice; mgła wody oddzieliła ich ode.

Ten dzień układał się drżącym deszczem na alei Plantów, gdzieś w okolicach dość znanego kiedyś uniwersytetu; ławki brnęły po kolana w wodzie tak głębokiej, że mogłyby się w niej zagnieździć jakieś płotki. Lub inne kielbie.

Widziano, jak przysiadł na nie najnowszej gazecie z aktualną datą, którą przedtem wyłożył ławkę, żeby uchronić przed mokrymi deskami swoje ulubione spodnie; tak to zawsze jest, że gdy się ma coś jedyne, nie chce się utracić; moment zrozumienia tego to też dojrzałość – obok siedział szerniały staruszek, w pozie człowieka atakowanego przez słońce, którego już dawno w tym mieście nikt nie pamiętał – był wygodnie oparty, a twarz unosił w górę. Krople spływały bruzdami policzków jak najserdeczniejsze łzy.

Widziano, jak wyciągnął z zielonej torby sześć złotych, czyli nową paczkę polskich gólawców, i przypalił; krople deszczu, otoczone dymem, zmatowiały. Także zrobiły się chłodniejsze.

– palacz przy palaczu siądzie zawsze – odezwał się szerniały po jakichś trzech sztachnięciach. – moja czasem mówi, nie pal, bo śmierdzą te papierochy, to co zrobić, jak takie produkują. a te, co nie śmierdzą, to znowuż drogie są.

– i niezdrowe – usłyszano.

– a co jest zdrowe. wszystko jedno chore, krucy banda. wsio. ludzie. drzewa. powietrze. cały ten świat chory, w mordę zataraszony, ten deszcz cały.

Jeszcze kilka temu słońce było takie rozognione. Słoneczne jak nie dla tego świata. Nad miastem krążyły helikoptery, a ludzie wznosili w górę głowy, jak w oczekiwaniu na dawno spodziewane zrzuty. Jakieś paczki albo coś w tym stylu. Od tych helikopterów odrywały się co jakiś czas ciemne punkty i ginęły gdzieś za lasem wież kościelnych.

Na Błoniach, w pobliżu drogiego hotelu, pasła się łaciata krowa oraz odbywały się mistrzostwa spadochronowe. Na środku placu usypany był krąg z białego piasku, który, zryty licznymi obcasami, wyglądał jak rozdeptany mózg; największą sztuką było trafić w to koło i raczej niewielu się taka sztuka udawała. Większość wiatr niósł gdzie chciał i wtedy przyczajone w trawie sylwetki podrywały się i pędziły w kierunku miejsca, w którym miał wylądować zawstydzony człowiek z rozdętą szmatą nad głową.

– oblicza się wyniki i ja ich będę podawał – chrypiał rozpaczliwie gigantofon; głowy unosiły się w słońce, a co przebieglejsi widzowie układali się w trawie na plecach, by nie dręczyć karków.

– nie widze spadochrona!

– może być, że się nie roztworzy.

– to by się wdupił taki w ziemię, żeby go nie dokopali.

Naród rzucił się w kierunku miejsca, w którym miał wylądować zawstydzony człowiek z rozdętą szmatą nad głową; otyłe kobiety, potykając się w kępach trawy, padały, wybuchając chorym śmiechem, zanosili się od płaczu zagubione dzieci.

– siedemdziesiąt metrów, trzydzieści trzy centimetra od centra koła – chrypiał rozpaczliwie megafon.

– helikopter zlądował!

Zanim przyszła pora deszczowa, na marginesie placu zjawiały się tu i tam postacie w kolorach płam na twarzy schorowanego na wątrobę: to miejscowe kobiety upiększały słońcem swe ciała; te starsze kocimi ruchami ściągały przez głowy sukienki i poprawiając różowe biustonosze, przeginały się ku słońcu. Inne zjawiały się z siatkami, w których ułożone były starannie tak zwane opalacze; wszystkie w ten sam sposób siadały w kępie trawy i nie zdejmując sukienek, szybkimi ruchami zwlekały różowe albo bardziej wyrafinowane w kolorze, fioletowe majtki, rozglądając się przy tym bystro dookoła jak spłoszone kwoki. Potem na rozdęte kłęby wciągały dolne części opalaczy, zakupionych na ten najnowszy sezon w pedete za czterysta dwadzieścia złotych. Lub za trzysta pięćdziesiąt. Ściągały sukienki i na siedząco lub klęcząc, na koronkowe biustonosze nakładały ten kolorowy. Odpinając poprzedni i pośpiesznie upychając umykające worki piersi. A potem oddawały się gwałtownie słońcu, które nie chciało ich przyjąć.

Młode dziewczyny kładły się na brzuchach, rozpinając na plecach staniki. Unosząc się po coś na chwilę, nie zapinały ich, przytrzymując dłońią te skrawki materiału okrywającego sutki.

Młody, klęcząc obok dziewczyny i nie zdejmując czarnej koszuli, w obawie przed zdemaskowaniem krościastych pleców, opowiadał z przejęciem, wpatrując się w wypukłe pośladki, filmy krótkometrażowe, jeden był, znaczy się malarski, kukielki, ale dla dorosłych. w ogóle morderstwa, upijanie się. zbóje wpadają. ciach. ona stanęła z toporem i ciach. głowa odskożyła. można się było pośmiać.

– weź lepiej skrypt i poucz się do kolokwium – odpowiedziała łagodnie dziewczyna, przekręcając się na bok i nie ukrywając naglej nagości. – bo cię jarzębski znów przypałuje.

Jemu zaczęły drzeć ręce.

Jeszcze kilka temu słońce było takie rozognione. Słoneczne, jak nie dla tego świata.

Widziano go, gdy o zachodzie biegł plażą kilka metrów za tym, którego ogarnęła mania biegania sześciu kilometrów dziennie.

Widziano, jak biegł kilka metrów za tamtym, mocząc stopy w smudze ginącego w morzu słońca, które poruszało się razem z nim. Biegł, unosząc się w rosnącym zmierzchu. Wśród krzyku nadmorskiego ptactwa.

Na pięćsetnym metrze czekała żona tamtego, ogarniętego manią biegania sześciu kilometrów dziennie. Była ukryta za wałem piasku i zbielałych desek, oddanych przez wodę. Tak starannie, ale wiedział, kiedy skrócić; plecy tamtego wchłonęła ćma, ale ciało kobiety jaśniało jak lampa alladyna.

Wijąc się zapadała w piach coraz głębiej i gdy krzyknęła jak gwałtowna fala, on poczuł nagle tak, jak gdyby ktoś niedostrzegalnym gestem przeciągnął ostrzem brzytwy wzdłuż jego pleców. I to ciepło, spływające po bokach. Trwał ze dwa kilometry tamtego, ogarniętego manią, a potem puścił się w pościg. Spotkał go zawracającego.

– spuchłem.

– żadna sprawa – odkrzyknął ogarnięty. – trochę jeszcze potrenujesz, to zobaczysz. będziesz miał wyniki jak ja.

Widziano go, zanim przyszła pora deszczowa.

Widziano go na zamglonej ławce ze szerniałym człowiekiem. Który właściwie już odszedł.

Widziano, jak pochylił się, przybierając postać znaku zapytania, by przyjmować krople na plecy; w kieszeniach z przodu, jak stwierdzono, miał papierosy, wezwanie na rozprawę w kolegium i zapalki. Głównie chodziło o te zapalki – gdyby zmokły, byłby bezradny. Jego kult żywego ognia.

Stwierdzono, że jest nałogowym palaczem.

Gdy się tak pochyliłem, mogłem przeczytać kawałek rozplywającej się gazety z dzisiejszą datą. Był tam artykuł na temat sprawy, którą pasjonowało się od tygodnia całe miasto. I nie tylko. Niektórzy do tego stopnia, że potrafili zapomnieć o innych pasjonujących sprawach. Jak nazwać lwiątko? W piątek rozstrzygnięcie konkursu! Po ogłoszeniu naszego konkursu na imiona 2 lwiątek płci żeńskiej napłynęło na adres redakcji kilkadziesiąt listów od naszych Czytelników z propozycjami, które natychmiast przekazaliśmy dyrektorowi Cyrku. Pokażna ilość propozycji napłynęła na adres samego dyrektora. Ciepłe słowa pod adresem dyrekcji i opiekunów zwierząt – pp. Wawrzyniaków – są miarą popularności Cyrku. Wielu spośród czytelników proponowało nazwać lwiątko „Dina” i „Dona” – od pseudonimu dyrektora „Din–Dona”. Ponieważ lwiątko urodziły się w Nowej Hucie, proponowano je nazwać na przykład „Hutta” i „Hilla”. Niektórzy spośród Czytelników chcieliby w imionach lwiątek uhonorować ich opiekunów, nazywając je „Tehera” i „Hetesa” – od pierwszych liter imion pp. Teresy i Henryka Wawrzyniaków. Niektóre listy – a otrzymaliśmy je niemal z całego terenu województwa miejskiego – zawierały kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt propozycji. O tym, które z nich wybiorą opiekunowie – dowiemy się już w piątek.

– co za skurwysyństwo – powiedziałem głośno w deszcz, który jednak stłumił te słowa z obawą.

– leje i leje – odpowiedział zszarzały, który siedział tu dalej, mimo że już go nie było.– już myślałem, że przestanie, bo niebo trochę oddechnęło, i znowuż. jak tak leje, to jakby człowiek nic nie posiadał i nikogusieńko nie miał. niejedo miałem, antyki. a, to miałem. takie. świętki dwa. coś pisało tysiąc pięćset. diamenty też miałem jak palec. leoś, jak był mały, to wziął młotek i porozbijał. gdzieś to miałem w szklance. taka szklanka była w kredensie

gdzieś. i tam to trzymałem. pisało na niej w każdym razie indyjsze diamenty. a teraz to ja jestem monterem piorunochronów.

Podniosłem się z ławki i szybko odszedłem. Bałem się jakiejś prowokacji.

Widziano go, gdy wszedł do bramy domu numer dwadzieścia pięć przy Rynku Głównym. Prawdopodobnie chciał się udać albo do klubu działaczy i twórców zetemes, który mieści się na parterze, albo do redakcji na trzecie piętro, w której jest zatrudniony. Jeśli udał się do redakcji, to czekał tam na niego list, do którego powinien się ustosunkować.

Treść listu: Droga Redakcjo! Pozwoliłyśmy zwrócić się do Ciebie o pomoc w bardzo ważnej dla nas sprawie. Jesteśmy obecnie w II klasie LO. Już pod koniec tego roku musimy zdecydować, jaki kierunek studiów wybieramy, z tego względu, że od września trzeciej klasy mamy już małą ilość lekcji ze wszystkich przedmiotów, jakie będziemy zdawać na wyższe studia.

Jesteśmy bardzo długo koleżankami i od dawna zastanawiamy się nad dalszym kierunkiem nauki.

Chciałyśmy dowiedzieć się jak najwięcej o Wyższej Szkole Oficerskiej MO.

Gdzie znajdują się takie szkoły? Jakie są wydziały (kierunki) i co na każdy się zdaje?

Co do kierunku, nie jesteśmy jeszcze zdecydowane, po prostu nie znamy wszystkich kierunków, to trudno wybrać. Myślimy o walce z trudną młodzieżą – nie wiemy, czy taki kierunek w ogóle istnieje.

I coś o warunkach przyjęcia kandydata.

Obie jesteśmy dość silne fizycznie, ale nie jesteśmy zbyt wygimnastykowane (jeśli istnieją egzaminy sprawnościowe i na jakie kierunki? i w takim wypadku czy mamy szansę?).

Chciałyśmy się dowiedzieć, czy dużo jest chętnych? Czy na każdy kierunek zdaje się z tych samych przedmiotów?

O ile Redakcja nie jest w stanie odpowiedzieć na list, bardzo prosimy o poinformowanie nas, do kogo mamy się zwrócić.

Bardzo dziękujemy za pomoc w rozwikłaniu dla nas wprost bezgranicznie ważnej sprawy. Bardzo prosimy o szybką i w miarę dokładną odpowiedź. Ania i Jola.

Głucho dudniącą sienią przeszedłem obok klubu działaczy i twórców zetemes i powoli, krok za stopniem znalazłem się na trzecim piętrze, przed drzwiami z napisem redakcja. Kiedyś jakaś ręka wydrapała literę d i tak już jakoś zostało. Ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi, by uniknąć złego wzroku maszynistki, i szybko skręciłem w lewo. W końcu korytarza zauważyłem gońca, który przechadzał się, łagodnie kołysząc biodrami. Przekręciłem klucz w zamku drzwi pokoju numer sześć i znalazłem się w środku. Wzdłuż ścian, wyklejonych jaszkrawoczerwonymi plakatami i wśród kilku pustych biurk. Na jednym z nich znalazłem list od jakichś dwóch dziewczyn z Warszawy – tak przynajmniej był podpisany – od jakiejś Ani i Joli, ale nie mogłem się skupić i odłożyłem go, nie zrozumiawszy treści. Drugi list był jeszcze dziwniejszy; w kopercie był wąski skrawek papieru z wypisanym na maszynie tekstem: Ogłoszenie – Podaje się do wiadomości, że jest do wypożyczenia świetlica na wesela i inne imprezy, na Ogródkach Działkowych Im. J. Chociszewskiego przy ul. Chociszewskiego w Poznaniu, zgłoszenia na miejscu, działka Nr 22 lub 31. Ten list nie był podpisany, więc nie można go było brać pod uwagę. Prócz tego znalazłem jeszcze kartkę, którą zostawił mi Janek: Tadek wyjechał do Paryża, Adama, wezwała nagle rodzina do Hrubieszowa, będzie tam półtora miesiąca, Janusz wyjechał nagle w nieznanym kierunku.

Usiadłem na krześle, by przejrzeć prasę. Najpierw wziąłem do ręki Gazetę Południową; jednak tytuł jakiegoś artykułu: Hasłem świni nie utuczy, tak mnie zniechęcił, że odłożyłem ją

na bok. Został mi jeszcze Dziennik Polski. Ale nie było ciekawych ogłoszeń. Przyjmę na mieszkanie emeryta religijnego, bez nałogów. Coś mi tu nie pasowało, ale nie zastanawiałem się nad tym dłużej.

Wstałem, otworzyłem drzwi, potem zamknąłem je starannie za sobą. Przechodząc obok pokoju maszynistki, zatrzymałem się na moment, bo przypomniałem sobie o jednej sprawie. O takiej prośbie. O papierku do wywabiania liter na maszynopisie.

– może mi pani dać taki jeden papierek? będę mógł czasem coś wywabić, jak mi się nie chcący napisze na maszynie.

– proszę pana. te osiem papierków przysłano mi aż z london. nie mogę. tipp–ex. W żadnym wypadku, i już.

Wyjąłem z kieszeni kurtki papierosy. W tym momencie wypadło mi wezwanie na kolegium. Zauważyłem to, podniosłem je i schowałem do lewej kieszeni, umieszczonej w okolicach serca.

Widziano go, jak wyszedł z bramy domu numer dwadzieścia pięć przy Rynku Głównym i udał się w kierunku ulicy Szewskiej.

Zatrzymał się przy banku PKO, ale nie w celu nawiązania kontaktu z cinkciarzami, jak się mogło wydawać. Naprzeciwko tego banku jest stoisko z książkami. Ponieważ padał deszcz, książki były przykryte folią i nie można było przeczytać tytułów. Zapytał sprzedawcę o Ucieczkę do nieba.

– nie ma – odpowiedział sprzedawca ze złością.

– dlaczego nie ma?

– panie. czy ja wiem? jakby ode mnie zależało, toby była. tylko głowę zawracają.

Potem skręcił w ulicę Szewską. Tam zatrzymał go jakiś człowiek, ale nie mogli dojść do porozumienia.

– nie poznajesz mnie?

– nie za bardzo.

– przyjaźniliśmy się kiedyś przecież, nie pamiętasz?

– nie pamiętam.

Na skrzyżowaniu wsiadł do tramwaju numer dwanaście i przejechał dwa przystanki nie kasując biletu. Na placu Wolności przesiadł się do autobusu sto czternaście i po dziesięciu minutach był w okolicy szpitala. Ponieważ nie był to dzień odwiedzin, nie wpuszczono go do środka. Stał pod oknem i gwizdał w charakterystyczny sposób.

Okno obite metalową siatką uchyliło się i człowiek, który się w nim ukazał, krzyknął, że zaraz rzuci kartkę. Tak też się stało po kilku minutach. Na tej kartce był, jak się okazało, następujący tekst:

Pierwszy dzień był aż za ciężki. Na dole odebrano mi ubranie. Nie miałem piżamy, czy jak się tam to nazywa, więc mi dali taką szmatę na jeden guzik. I położyli mnie na połowym łóżku na korytarzu, bo nie było miejsc. Nic nie pamiętam, żadnych szczegółów. Tylko jedna kobieta mówiła, przywieźli taką pijaczkę, co się truła. Taka jest głupota ludzka na tym świecie. Jakby nie mogła stryczek na szyję i szlus. Jakby ją znaleźli, nie byłoby co zbierać. Głupota ludzka nie zna granic. A polskie seriale w telewizji to do luftu. Forsajty, to rozumiem. A we Wojnie i w pokoju nie mogę się połapać.

Przywieźli takiego grubego człowieka, ale bezwładnego. Też na połowe łóżko koło mnie. Jakoś się przekręcił na brzuch. Po pół godzinie przyszła lekarka, nie wolno tak leżeć, bo się pan udusi. Potem się nad nim nachyliła, potem pobiegła po słuchawki, bo ich nie miała przy sobie. Z pielęgniarką przekręciły go na bok, przyłożyła słuchawkę i powiedziała o kurde. Nachyliła się nad nim i coś napisała w karcie, która była przyklejona plastrem do ściany, potem tę kartę zerwała, a tamtego nakryła kocem razem z głową. Więc ci ludzie z połowych łóżek

nie zwrócili uwagi. Może dlatego, że starzy. Coś w rodzaju satysfakcji, że według rachunku prawdopodobieństwa to zwiększa ich szansę.

- nie potrzebuje ani stękać. już go nic nie boli.
- powinni go wyrzucić już. po co tu zaduch sieje.
- wózek jest długi, o, położyć go, wywieźć i dobra.
- dwie minuty i gotowy.

Potem pielęgniarka mówi do takiego pacjenta, pana Stasia, który tu chyba jest od dawna i we wszystkim pomaga, panie Stasiu, pomoże pan, wskazuje głową na tamtego, Stasiu się przygląda przez chwilę, a potem gwizdże przeciągle.

Miałem też jedną rozmowę z salową. Podchodzi do mnie i mówi, żebym jej coś dał do czytania, bo mam trochę książek, a ona się nudzi. Nie bardzo wiedziałem co. Taka rozmowa.

- tę z wierzchu może pani przeczytać.
- wydawnictwo mon – sylabizuje powoli na głos. – witold filler, drogi i bezdroża paryskiej kultury. to wojenne opowiadania?
- opowiadania wojenne? można tak powiedzieć.
- dobre jakieś?
- pani się będą podobać.
- nie. ja lubię całość. raczej całkowitą całość.

W każdym razie chciałbym, żeby mnie stąd wypuścili. Tylko nie wiem, jak to załatwić. Pozdrawiam.

Sięgnąłem do kieszeni po zapalniczki i w palcach zaszeleścił mi jakiś papier; to ta bumaga, przypomniałem sobie – wyciągnąłem kawałek papieru; byłem w pobliżu pomnika – potężna postać z wyciągniętą przed siebie dłonią, na której nie przysiadł nigdy żaden zdrożny gołąb – ta dłoń była na tyle rozłożysta, że stając pod nią mogłem sobie dokładnie obejrzeć to wezwanie na kolegium, nie narażając bezbronnej kartki na krople. Ta spiżowa dłoń dawała zupełną pewność – gdy wszedłem na cokół pomnika, była tak bliska mojej głowy, że z daleka mogło to wyglądać na łagodne głaskanie. Ale chodziło o to, by uchroniła papier przed natarczywością kropel.

Dokładnie odczytałem jeszcze raz wszystkie pieczętki i napisy – niewiele z tego mogłem zrozumieć, z tych wszystkich praw, ale to nie zwalniało mnie od odpowiedzialności. Z tego, co było tam oczywiste, wynikało, że mam się stawić na rozprawie, która będzie prowadzona przeciwko mnie.

To było wtedy, całkiem niedawno, gdy posiadałem przez jakiś czas tak zwany kął, czyli pieczętkę w moim osobistym dowodzie, która z całą pewnością potwierdzała fakt posiadania miejsca stałego zameldowania. A także zamieszkania.

Obudziłem się; twarz miałem zanurzoną w poduszce, chwilę leżałem spokojnie, a potem przeciągając się w tym pierwszym porannym odruchu życia, wyrzuciłem na boki obie ręce. W tym momencie moja lewa pięść natrafiła na coś, co mogło być tylko szczęką. Niczym innym.

–no wiesz, kochanie – usłyszałem i pomyślałem, że to jest jedyne zdanie, które w tej sytuacji mogłem usłyszeć.

Powoli odwróciłem głowę i gdy podniosłem powieki, zobaczyłem obok siebie jakąś nieznaną dziewczynę, o jasnych, niewinnych włosach.

- a ty co tu robisz?
- no wiesz, kochanie – odpowiedziała, a uśmiech nie schodził jej przy tym z zębów.

Wtedy usłyszałem mocne stukanie do drzwi, idź otworzyć, powiedziałem, ona bez sprzeciwu podniosła się; przedtem leżała na brzuchu i teraz jej piersi rozsypały się; z niewinnym bezwstydem ruszyła do drzwi, za którymi były już tylko kręcone kuchenne schody, prowa-

dzące na podwórze. Przekreśliła klucz; w drzwiach stał listonosz i patrzył w kartkę, którą miał mi wręczyć, potem jego wzrok natrafił na białe stopy przed nim – oczy przesunęły się ku górze i znieruchomiały, a na jego czoło wystąpił pot.

– słucham, kochanie – powiedziała dziewczyna.

On przełknął ślinę, grdyka podskoczyła mu aż pod daszek czapki, ja tu, tego, wezwańko takie. Na kolegium. Mam po. Podpisać trzeba.

– pan wejdzie – odezwałem się, a on ruszył w kierunku mojego głosu jak lunatyk; kartkę położyłem przed sobą na poduszce i podpisując rozerwałem ją, on tego nie zauważył, bo jego wzrok penetrował zupełnie inne obszary.

– nic więcej pan nie ma dla mnie?

– nic dzisiaj.

– to do widzenia.

– do widzenia – powiedział i zaczął się wycofywać do drzwi; dziewczyna o niewinnych blond włosach stała przed lustrem przyczepionym do szafy i szukała grzebienia w torebce. On zatrzymał się jeszcze w drzwiach, a tak, tego, ogólnie, to jak się układa, zapytał, zamknij drzwi za panem mundurowym, powiedziałem, choć nie chciałem tego mówić, bo wiedziałem, że usłyszę: oczywiście, kochanie.

To było wtedy, gdy posiadałem przez jakiś czas tak zwany kąk, czyli pieczętkę w moim osobistym dowodzie, która potwierdzała z całą pewnością fakt posiadania przeze mnie miejsca stałego zameldowania.

Panie! Z dniem 1 października rozwiązuję z panem umowę o najem pokoju w moim mieszkaniu przy ulicy Wrzesińskiej i żądam natychmiastowego opuszczenia pokoju.

Decyzja moja jest ostateczna, a spowodowana została niewywiązywaniem się z obowiązków określonych w umowie, a to:

notoryczne kilkumiesięczne uchylanie się od sprzątnięcia łazienki, ubikacji i przedpokoju w ramach dyżuru, jak również nieprzestrzeganie podstawowych zasad higieny.

Częste oblewanie sedesu przez pana i licznych gości.

Pozostawianie smrodów w ubikacji lub wietrzenie do przedpokoju, pomimo że w tym celu jest okienko.

Palenie papierosów w ubikacji, łazience, a także wietrzenie do przedpokoju.

Pozostawianie brudnej wanny, włosów, resztek jedzenia i to spowodowało zatkanie wanny.

Odrażające są wręcz odgłosy spluwania do wanny (określenie pospolite „charkanie”).

Zabraniam nocowania osób oraz używania przez nich przynależności.

W momencie opuszczenia pokoju otrzyma pan zwrot pozostałej kwoty wpłaconej z tytułu czynszu.

Nadmieniam, że należy pozostawić pokój w takim stanie, jaki został wynajęty. – Franciszka Majcher.

Po przeczytaniu tego listu nie pomyślałem w pierwszej chwili z żalem, że jest to wyjątkowe, że było to wyjątkowe, bo dwa kroki stąd była całkiem niezła melina. O tym pomyślałem później, a w tym momencie miałem w głowie jedną bardzo ładną, a także liryczną piosenkę i ani kawałka papieru pod ręką, więc ten list bardzo mi się przydał, bo mogłem ją zapisać na odwrocie.

Tyle dni z mozolnym słońcem,

Tyle godzin nieprzebranych,

głowy pochylone, śpiące;

myśl się błąka w gardle bramy,

dłonie drżące, dłonie drżące...

Tyle godzin nieprzebranych,
słowa się rozwiały w wietrze,
nogi zapomniały chodzić,
ręka już się unieść nie chce –
tylko oczy w miejscu brodzą.

Głowy pochylone, śpiące;
dwoje mija się z obawą,
mrok zakwita jak złe słowo,
miasto patrzy w niebo mgławce,
które błądzi swoją drogą.

Myśl się błąka w gardle bramy,
komuś wyśnił się poranek,
łza porasta w kącie oka;
jakieś drzewo zapomniane
i droga kiedyś szeroka.

Dłonie drżące, dłonie drżące –
niegdyś były rozedrgane,
gdy pędziły na spotkanie.
Teraz dwie zostały same;
unikają się, milczące.

Potem, ponieważ była dość chłodna jesień, napaliłem w piecu rocznikami Życia Literackiego, porzuconymi przez kogoś na podwórku, przy kubłach na śmieci. Mimo że w tym mieście nikt niczego nie wyrzuca. Bo wszystko może się przydać w przyszłym życiu.

Rozprawa przed kolegium miała się odbyć za dwa tygodnie. Stwierdzono, że w tym okresie, już po opuszczeniu mieszkania przy ulicy Wrzesińskiej, nie znalazł żadnego lokalu i nocował w różnych miejscach. Kilkakrotnie na dworcu kolejowym, ale dworzec w tym mieście nie posiada poczekalni i dlatego szukał schronienia w świetlicy dla podróżnych. Nie posiadał przy tym ważnego biletu na przejazd pociągiem; miał tylko stary bilet, upoważniający do przejazdu na trasie Szprotawa–Przemków Odlewnia, z datą 3 maja 1958 rok. Stwierdzono, że miał wówczas dziewięć lat.

Świetlica dworcowa zapelniona była zrezygnowanymi ludźmi; ci, dla których zabrakło drewnianych krzeseł, siedzieli na walizkach, sztywni, z podniesionymi głowami; całą dobę pracownice tej świetlicy, umieszczone na specjalnym podwyższeniu, pilnowały tych głów, czujnie strzegąc, by żadna z nich nie opadła na piersi, nie spać tam, ten w zielonym ortalionie, nie spać tam, to nie sypialnia, rozległ się krzyk ostry jak strzelanie z bata.

Widziano, jak trzymając w rękach opartych na stole tygodnik Szpilki uczył się spać z otwartymi oczami, co początkowo nawet mu się udawało. Drugiej nocy, po spisaniu danych personalnych przez funkcjonariusza MO, musiał opuścić świetlicę.

Próbował wprowadzić w błąd pracownice szaletu miejskiego i zostać w nim na noc, ale został odkryty.

Jedną noc spędził w pokoju, który odstąpiła mu znajoma; w tym pokoju poprzedniej nocy zmarła jej babka i ciało zabrano następnego dnia. Najpierw próbował położyć się na łóżku, na którym zmarła ta kobieta, a potem w ubraniu położył się na podłodze, nie gasząc światła. Le-

żał na plecach i gdy podniósł głowę, zauważył, że krucyfiks, który przedtem stał na szafie, teraz leży. Był pewien, że ten krucyfiks stał, a także tego, że nie dotykał go. Do rana nie mógł zasnąć. Przedtem jeszcze obraził słownie administratora domu, mecenasa Schpirca, który komisyjnie z dozorczynią i mieszkanką domu udali się do mieszkania, sądząc po zapalonym świetle, że mógł wprowadzić się dziki lokator. Na długotrwałe dobijanie się nie odpowiadał, ale po jakimś czasie otworzył drzwi. Zapytany przez mecenasa, kim jest i co robi w tym mieszkaniu, odpowiedział: idi ty nachuj – i zatrzasnął drzwi.

Był wieczór; wolno posuwałem się ulicą – znajdowałem się gdzieś w okolicach słynnego kiedyś uniwersytetu, tak mi się przynajmniej wydawało, ale zmęczona głowa nie pozwalała się podnieść, tak by oczy mogły stracić z pola widzenia dwie stopy, miarowo, jedna po drugiej, wysuwające się do przodu. Był wczesny wieczór.

Przechodziłem obok jasno oświetlonej witryny, gdzie na zdezelowanych manekinach, które wyglądały jak po przegranej wojnie trzydziestoletniej, prezentowano najnowsze modele kurtek ortalionowych. Uroda tych ortalionów maskowała jednak ułomności manekinów.

Na tle tej jasnej wystawy stał mężczyzna ze skrzypcami; do ramion miał przymocowane dwa druty, które błyszczały w świetle jak płonące skrzydła, a na końcach tych drutów znajdowała się harmonijka ustna, czyli organki; człowiek był niewidomy – grał na skrzypcach melodię rozszumiały się wierzby płaczące i śpiewał znaną piosenkę moja droga ja cię kocham. W przerwach między zwrotkami, pochylając się do przodu jak nad barierą mostu, wyszukiwał zsiniałymi wargami drgające w przestrzeni organki i wtórował skrzypcom.

Do porzuconego u stóp beretu padały co jakiś czas krople deszczu.

Na rogu św. Anny i Jagiellońskiej otworzyły się drzwi baru – właśnie tędy przechodziła mi droga; z tych otwartych drzwi rozległy się na całą okolicę zapachy różnych zup, ziemniaków i kompotu z suszonych śliwek. Postanowiłem tam wejść; ponieważ drzwi były otwarte w tym momencie, mogłem sobie oszczędzić wysiłku, który by trzeba włożyć w czynność otwierania wierzwi. Co prawda nie wchodziłem tam od dawna; przed laty, gdy pewnego października miałem przy sobie dwieście czterdzieści złotych, byłem tam gościem codziennie; pewnie siadałem przy stoliku, wołałem kelnera, słynnego z głupoty; nigdy nie był w stanie zapamiętać, o co go proszono – i dokładnie przejrawszy kartę, zamawiałem pierogi ruskie, które kosztowały cztery osiemdziesiąt. Nic tańszego prócz herbaty tam nie było. Okrutna głupota kelnera polegała wtedy na tym, że przynosił mi dużo lepsze i droższe rzeczy, z którymi musiałem go odsyłać. Te trzydzieści jeden dni ruskich pierogów kosztowało sto czterdzieści osiem osiemdziesiąt. Trzydzieści jeden paczek polskich goluazów kosztowało dziewięćdziesiąt trzy złote. Wszystko to razem dwieście czterdzieści jeden osiemdziesiąt. Tę brakującą złotówkę z osiemdziesięcioma groszami udało mi się pożyczyć od pewnej dziewczyny, której nigdy potem nie spotkałem i nie oddałem pieniędzy i która straciła pewnie przez to wiarę w człowieka.

Więc nie wchodziłem tam od lat, bo dobrze zapamiętałem ten ruski miesiąc. Ale tym razem mogłem sobie zaoszczędzić wysiłku przy otwieraniu drzwi. Wchłonęły mnie zapachy.

Widziano go wchodzącego powoli do baru na rogu Anny i Jagiellońskiej. Siadł przy ostatnim stoliku koło kuchni, niedługo przed zamknięciem: sala była prawie zupełnie pusta. Mimo to, staruszka, która weszła chwilę później, podbiegła do stolika, przy którym siedział, i bez pytania zajęła tam miejsce. W pierwszej chwili zrobił ruch, jakby się chciał przesiąść, ale później zrezygnował z tego zamiaru i zaczął się jej przyglądać. Gdy zjawiała się kelnerka, zamówił bigos i dwie butelki piwa. Obserwował kobietę, a ona patrzyła na to piwo z takim obrzydzeniem, jakie miała w oczach czterdzieści lat temu po udanej nocy poślubnej. Pokasz-

liwała przy tym nieustannie i nie był to już kaszel, ale tik, który przypominał poszczekiwanie ratlerków, jakich tysiące owiniętych w szmaty wyprowadzają na ulice mieszkańcy tego miasta.

Widziano, jak obserwował mnogość niepotrzebnych ruchów, które wykonywała ta kobieta. Na wolnym krześle ułożyła starannie siatkę, wypchaną opaskami dla kobiet w okresie menstruacji. Do tej siatki włożyła rękawiczki. Potem przysunęła z hałasem drugie z wolnych krzeseł. Popatrzyła z obrzydzeniem na piwo, które pił; na tym krześle ułożyła torebkę. Potem torebkę przełożyła na krzesło z siatką, a siatkę na to z torebką. Z torebki wyjęła słoiczek z metalową zakrętką, na której było napisane zamknięte i otwarte, w języku angielskim, jak się później okazało.

- czy mogę dostać kapustę białą.
- jest tylko czerwona.
- a czy mogę dostać białą.
- nie.
- nie ma białej. żeby do słoiczka. na wynos.
- nie ma. Czerwona jest.

Schowała słoiczek. Poprawiła rękawiczki w siatce. Zakaszła. Zabrzmiało to jak szczekanie małego pokurcza. Poprawiła szalik i berecik, który robiła na drutach przez całe lata.

- jak ty ślicznie wyglądasz, czusiu, w tym bereciku! wręcz!

Sięgnęła po serwetkę, ale wyciągnęły się dwie. Natychmiast schwyciła drugą i dopasowała do pierwszej. Głośno i niedelikatnie otarła usta. Gdy przyniesiono jej kotlet mielony, rzuciła się na jedzenie, starannie gospodarując na talerzu. Zgarniała ziemniaki widelcem, dorzucała do tego rozgotowaną kapustę, która wiązała je w papkę. Odsmykiwała kawałek kotleta; trzymając pionowo widelec, nagarniała nieco papki i wysuwając języczek pakowała to szybkim ruchem w otwór. Raz tylko zdenerwował ją jakiś paproch. Wyprowadziła go nieomylnym ruchem widelca ze stawy. Na ubocze talerza. Dalej szło dobrze. Po dwóch minutach było po wszystkim. Wyprostowała się z zadowoleniem, poprawiła szalik na ramionach i niespodziewanie mocnym głosem wrzasnęła w kierunku przechodzącej kelnerki:

- co za świństwo! tego się jeść nie da wręcz! jak na ścierce gotowane. na ścierce!

Siedziałem w tym barze; natychmiast dosiadła się jakaś baba, mimo że była pusta sala – miałem przejść do innego stolika, bo w tym momencie nie znosiłem ludzi, ale przypomniałem sobie, co mówił jeden, spróbuj pokochać ludzi, nie sztuka ich kochać z daleka, ale spróbuj pokochać ludzi, gdy na przykład jedziesz w lipcu autobusem, a w tym autobusie zamiast pięćdziesięciu ludzi jest stu pięćdziesięciu, tak że kierowca nie rusza z przystanku; ci, którzy się nie dostali do środka, wiszą teraz w drzwiach jak nietoperze i ty już ich nienawidzisz, bo jesteś pasażerem, a przez nich – tamtych, kierowca nie może ruszyć z miejsca; kiedy się jakoś wszyscy ubijają w tych wnętrznościach i się jedzie – wtedy spróbuj pokochać ludzi.

Więc siedziałem przy stoliku i kochałem tę babę, chociaż cały czas miałem ochotę ją stuknąć; parę stolików dalej zasiadł jakiś facet i zdziwiły mnie jego nogi, rozstawione w ten sposób, że uda tworzyły linię prostą. Oczywiście zamówił pierogi ruskie, a gdy mu je kelnerka podrzuciła, to najpierw odczekał z godnością jakąś minutę; dopiero potem ujął narzędzie.

Zamówiłem bigos i dwa piwa, ale nie mogłem jeść tej kapusty, więc wypłem piwo i zamówiłem jeszcze dwie butelki. Poprosiłem kelnerkę, żeby nie zdejmowała kapsli, bo chciałem to piwo zabrać ze sobą. Zapłaciłem i wyszedłem na św. Anny. Stałem przez chwilę, nie wiedząc dokładnie, w jakim iść kierunku, i przypomniałem sobie wtedy o tym wezwaniu na kolegium i o tym, że naprzeciwko w biurze kościoła, całkiem niezłe barokowego, ludzie zostawiają adresy mieszkań do wynajęcia. Dla bogobojnych studentów, a nie dla cywilów, ale czy to ich wina, tych studentów?

Wszedłem do sieni, a potem do pomieszczenia, bardzo ciepłego, w którym nikogo nie było. Na stole leżały grube zeszyty, do których wpisywano te adresy; przerzucałem kartki – większość zapisanych kamer była już powykreślana i znalazłem tylko jedno aktualne ogłoszenie, młodzieńca religijnego, bez nałogów przyjmę na mieszkanie, ale nie zapisałem tego adresu.

Drzwi do drugiego pomieszczenia były uchylone i przez tę szczelinę słycać było bulgot głosu; na początku nie zwracałem na to uwagi, ale potem zostawiłem zeszyty z adresami, bo to, co usłyszałem, to były tak zwane nauki przedmażeńskie dla studentów, prowadzone przez wytrawnych psychologów i seksuologów klerykalnych; studenci musieli przez nie przebrnąć przed tą uroczystą chwilą, kiedy legalnie będą mogli się sparzyć.

– la donna e mobile – kobieta jest zmienna –ona się lubi zmienić i jeśli skończy się jajeczkowanie, to mężczyzna nie jest dla niej ważny. druga sprawa to jest sprawa miłości. to jest aż śmieszne mówić, bo się dużo o tym pisze.

– mieszkalem w jednym akademiku, ona w drugim. ja cierpiałem, ona cierpiała.

– różne są określenia. różne regułki. chodzi, żeby było dobrze. żeby tej osobie zrobić tak, by jej było miło. bo właściwie jest to miłością. czy coś się z nią dzieje. ktoś świetnie powiedział – miłość jest podobna do człowieka. przedłużenie cech ojca. smak matki jest inny. smak żony inny.

– mieszkalem w jednym akademiku, ona w drugim. ja cierpiałem. ona cierpiała.

– ja mojego męża, ze swej strony, jedno mi się podobało. dziewczynce lalkę się daje albo płacze – matka nie dała. intensywność przeżyć. o tym się dużo śpiewa. ale ślubny kobierzec. wtedy widać czerwone okulary, wtedy dopiero widać. po prostu jest ta miłość inna. rok. dwa. trzy. tu wysuwają się na pierwszy rzut uniesienia. i tu konflikty, bo każdy z nas jest kobietą i każdy z nas mężczyzną. i każdy z nas nie jest ideałem. każdy go widzi, jakim jest. każdy z nas ma bardzo dużo dobrych cech, ale one, wady, przychodzą później. i co. dojdzie się później do tego samego. człowiek się kształtuje do sześciu lat. jeśli jest cholerykiem, to takim zostanie. nie da się wykorzenieć.

– mieszkalem w jednym akademiku, ona w drugim. ja cierpiałem. ona cierpiała.

Ze wzruszeniem słuchałem tego wykładu, przerywanego przez jakiegoś nachalnego i niecierpliwego onanistę, i popijałem sobie piwo; było mi ciepło i dogodnie; uwierało mnie tylko wezwanie na kolegium.

Nauki były tak porywające, że po pewnym czasie zaczęło mnie to wszystko wciągać i poczułem jakąś dziwną nieokreśloną tęsknotę.

Wtedy przypomniałem sobie o K.

Widziano go, jadącego tramwajem numer dwadzieścia jeden. Wsiadł na ulicy Zwierzyńskiej i wszedł do domu, w którym samotnie mieszka niejaka K., artystka plastyczka. Kiedyś mieszkał u niej przez tydzień, proponując jej małżeństwo, ale później, wywołując z jakiegoś błahego powodu kłótnię, opuścił to mieszkanie. Kontaktów nie utrzymywał z K. Od dwóch lat.

Zanim znalazł się w jej mieszkaniu, na tej samej ulicy kupił w melinie butelkę wódki stółowej za sto dwadzieścia złotych. Następnie wszedł na pierwsze piętro i zastukał do drzwi, ponieważ obok przycisku dzwonka wisiała karteczka – zepsuty.

Mieszkanie K składało się z pokoju i kuchni; oba te pomieszczenia wypełnione były tysiącami becików dzieciennych, do których ta kobieta doszywała różnokolorowe tasiemki. Grafikę przestała uprawiać od jakiegoś czasu, bo nie przynosiło jej to dochodów. Doszywanie tasiemek do becików było bardziej opłacalne.

Widziano, jak zastosował pewien znany chwyt, by dostać się do mieszkania. Gdy dziewczyna otworzyła drzwi, stał na progu z opuszczoną głową, nie odzywając się. W takich sytu-

acjach dziewczyna po kilku minutach przeżywania zaprasza do środka lub zatrzaskuje drzwi, by po kilku minutach otworzyć je i zaprosić do środka. W wypadku gdy jest u niej mężczyzna, dziewczyna stosuje drugi wariant, ale już nie otwiera drzwi. Zaniepokojonemu mężczyźnie mówi, że to kościelny z parafii sprzedaje opłatki.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę, potem powiedziała, wejdź, idź do pokoju; precisnął się między zwałami tych becików, wyjął wódkę, postawił ją na stole, a kurtkę rzucił na posłanie.

– wiem, że ci zrobiłem krzywdę, wiem, wiem, nic nie mów, ale nie mogłem tu nie przyjść. długo się przed tym broniłem, ale nie mogłem, jak ty musisz mną gardzić...

– zaraz zrobię herbatę – powiedziała z kuchni, błyszczącym głosem, który był w tym momencie piękny jak kropla wody. – i coś do jedzenia.

– daj też dwa stakany jakies. tylko proste raczej.

Siedział milcząc; dziewczyna o niespełnionym macierzyństwie z ożywieniem mówiła o tysiącach kilometrów przeszytych tasiemek i o nim, o tym, że wierzyła w jego powrót; wtedy on na stercie porzrzucanych na podłodze książek zauważył Opowiadania o Leninie Zoszczenki; dam ci za tę książkę Con amore; oczywiście nie miał jej, ale dziewczyna powiedziała, bierz, jest twoja; jemu głowa ciążyła coraz bardziej i stan napięcia między nimi nie zmieniał się, bo dziewczyna była coraz bardziej ożywiona, wreszcie powiedziała, możesz się położyć, ja szybko skoczę do łazienki; gdy zniknęła za drzwiami, podniósł się, ściągnął błyskawicznie buty i nie rozbierając się legł na szerokim materacu, przykrywając się razem z głową; po kilku minutach wróciła ona, była naga, ze śladami starości, ale wbiegła krokiem młodej dziewczyny; zobaczyła go uśpionego; w tym momencie zobaczyła go uśpionego; zauważyła też jego kolano, wystające spod koca i zabezpieczone džinsami; patrzyła na to kolano i miała suche policzki.

Mimo tych paru nocy na jawie, nie spałem długo; minęło chyba niewiele godzin, bo gdy wróciłem na świat i wyzwoliłem się z kołdry, było jeszcze ciemno; w pokoju także było ciemno, ale przez szparę w drzwiach odzywało się światło w kuchni – cicho włożyłem buty, odszukałem torbę i kapotę; uchyliłem skrzydło drzwi – wtedy zobaczyłem K. To znaczy nie od razu, ale kiedy światło obłaskawiło już oczy, ujrzałem ją, zagrzebaną w stercie dzieciennych becików; spała, ułożona na plecach; miała ręce zgięte w łokciach i zaciśnięte pięści – jak w akcie agresji albo rozpacz; obok tej sterty becików stał adapter, na którym obracała się bezgłośnie płyta; wróciłem do pokoju i zabrałem butelkę, w której zostało jeszcze koło sety stołowej zakupionej w melinie; może, gdy się obudzi, pomyśli, że to wszystko jej się przyśniło, że ja jej się wyśniłem, bo jak nie, to jeszcze jedna klątwa na mnie.

Nie wkładając kapoty, cicho wyszedłem i powoli, przytrzymując butem zatrzasnąłem drzwi; zbiegłem po schodach – brama była już otwarta, więc nie musiałem kombinować przy zamku, a poza tym znaczyło to, że jest już po piątej.

Uderzyło mnie powietrze. Tramwaj konał na przystanku. Naprzeciwko murszała barykada domu.

Na chwilę znalazłem ratunek na bezludnej wyspie przystanku tramwajowego, gdzie gromadziła się pierwsza zmiana. Sprawdziłem, czy mam wezwanie na kolegium. Było na swoim miejscu.

Obok mnie przystanął mężczyzna; spodnie załamywały mu się na dziurkowanych butach i mimo zimna, które było złe jak kosa, miał na sobie tylko zieloną elastyczną koszulę polo; biały szlaczek na kołnierzu tej koszuli dławił go wyraźnie. Kark miał wysoko wygolony, jakby przygotowany do ścięcia toporem, ale włosy tak długie, że po zaczesaniu do góry układały się jak jaskółcze skrzydła w czasie gwałtownego lotu.

– dobry dzień? tramwaj zaraz będzie. jak mam drałować do roboty na pieczę, to mogę tramwajem podskoczyć, nie? tylko na co ja do tej roboty mam iść? robotą się jeszcze nikt nie najadł. tak sobie pomyślałem. czy nie lepiej się przespać.

– a potem nad wodę. na szczupaki. dobra pora.

– na szczupaka to ja nie mam smaku. inni mają. a ja nie przepadam za smakiem na szczupaka. dorsza, to tak. o, dorsza to tak.

– no, dorsz – wiadomo.

– pewnie. dorsz to dorsz.

Tramwaj był wypchany jak torba z zakupami. Dość luźny. Mimo tego luzu zauważyłem, jak do przodu przepychał się maleńki mężczyzna w berecie, z aureolą łupieżu na marynarce; ta aureola była pewnie zbyt obszerna i znad głowy opadła mu na ramiona; dotarł do rozłożystej olbrzymiej kobiety i od tyłu przywarł do niej całym ciałem; był tak niski, że napierając na jej plecy mógł ukryć twarz między jej łopatkami jak wśród skrzydeł anioła. Ona odwróciła lekko głowę.

– taki mały i pcha się i pcha.

– jaki mały. tylko nie mały. jakbym pani wsadził to by pani dupe rozerwało!

– chyba ze śmiechu – powiedziała łagodnie kobieta i natychmiast uniosło się kilku mężczyzn, żeby ustąpić jej miejsca.

Widziano, jak po wyjściu z mieszkania artystki plastyczki K. stał przez chwilę na przystanku i wdał się w rozmowę z jakimś osobnikiem. Następnie wsiadł do tramwaju, ale po przejechaniu jednego przystanku wysiadł na placu Franciszkańskim. Poszedł do drzwi kościoła Franciszkanów i spróbował klamką, czy są otwarte. Ponieważ były zamknięte, obszedł kościół i przez dłuższą chwilę przyglądał się witrażom Wyspiańskiego Stanisława. Potem poszedł w kierunku kościoła Dominikanów i skręcił w ulicę Stolarską, gdzie się mieści konsulac amerykański. Przeszedł jednak na drugą stronę ulicy i znalazł się w podcieniach kramów dominikańskich, gdzie mieści się pracownia artysty rzeźbiarza, Kruczka Mariana. Zastukał do okna, ale nikt nie odpowiedział. Przechodząc podcieniami nachylił się i podniósł jakąś kartkę. Jak się okazało, był to list. Cześć Jacek. Bardzo się cieszę, że przyjedziesz do mnie. Jestem ciekawa, jak teraz wyglądasz w krótkich włosach. Mam do ciebie prośbę. Czy mógłbyś się zorientować, w jakich cenach są u was spodnie z zamszu sztucznego, i od razu napisz. Myślę, że przyjedziesz na moje urodziny. Więc załatw sobie już urlop. Jeśli masz jakieś zdjęcie z wojska, to mi przyślij. Czy masz zdjęcia, które nam robił Marian na pożegnanie w Jeleniu, jeśli masz, to też mi wyślij. Pogoda na Wybrzeżu się zmieniła, raz jest cieplutko jak w wiosnę, a raz znowu strasznie zimno. Na tym kończę i pozdrawiam ciebie serdecznie – Iwona – „Karolina” .

Kartka była wyrwana z zeszytu w kratkę, zabłocona i przetarta na brzegach.

Wrócił kilka kroków i usiadł na kamieniach, ułożonych koło pracowni artysty rzeźbiarza Kruczka.

Widziano, jak z zielonej torby wyjął notes i przepisywał tę kartkę. Wtedy z notesu wypadła mu inna kartka, czego nie zauważył. Okazało się, że jest ona zapisana następująco: Dobranoc dla młodzieży w telewizji. Nazywa się siódemka i to jest bardzo ciekawa nazwa. Pewnie stąd, że program zaczyna się o siódmej. Ale poza tym daje do myślenia. Może chodzi o wiek młodzieży? Konkurs. Dla kilku szesnastolatków. Konkurs prowadzi sztucznie nakręcany młodzieniec z doklejanymi wąsami. Jeden chłopiec miał siedmioro rodzeństwa. Ile miał siostrzyczek w tym. Bardzo dobrze. Teraz zawiążę ci oczy, kolega będzie cię prowadził i masz trafić pędzelkiem w kółeczko. Cudownie. Wygrywa drużyna Czesia. A teraz, moi kochani, taka kartka papieru jest. Z punktami, co narysowane. Trzeba robić kreski. Z kresek na pewno powstaną trójkąty. Który szybciej zamknie przeciwnika w trójkąt, na tego wyjdzie.

Mam nadzieję, że zbliżająca się niedziela upłynie wam na fascynującej i wesołej zabawie w trójkąty.

Na drugiej stronie kartki było jeszcze napisane: kończy się dziennik, spiker mówi – dziękuję państwu za odwagę.

Myślałem, że może, liczyłem, że zastanę Kruczka w pracowni; mógł się zapracować do świtu, ale nikogo nie było; parę razy zastukałem w okno, a potem poklepałem bok metalowego konia, który stoi przed pracownią. Trochę jeszcze chodziłem w cieniu podcieni, które mnie chroniły przed deszczem, i wtedy znalazłem dziwny list, dość zmięty i zabłocony – przepisałem go i nie było to wesołe.

Potem postanowiłem jechać do mojej byłej Instytucji, żeby zamknąć ostatecznie sprawę, jeszcze uchyloną; jakaś pieczęć w dowodzie, żebym przypadkiem nie mógł dalej udawać pracownika i tak dalej. Było dość wcześnie i pomyślałem, że jeśli pójde piechotą, to akurat minie tyle czasu, by ci tam zeszli się wszyscy do tej swojej arki, aby zająć miejsca i spokojnie sobie pozełgować jak zwykle.

Najpierw wyszedłem na Waryńskiego, ale nie schodziłem jednak w dół, do miejsca gdzie się gnieździ hotel garnizonowy, tylko skręciłem w Sebastiana i wydostałem się na Kazimierz.

W tej dzielnicy, kilka lat temu, po raz pierwszy zobaczyłem Żyda. To znaczy kilku ich widziałem już wcześniej, w różnych okolicznościach, ale takiego najprawdziwszego jeszcze nie. Był to stary człowiek, miał na sobie chałat i kaszkiet i wśród tych domów, które go otoczyły, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Po prostu szedł ulicą, dość zgarbiony. Było to w okolicy synagogi, która kiedyś działała, ale dziś jest nieczynna.

Było całkiem widno i krople deszczu błyszczały na chorych murach jak szczere łzy. Tynk bezgłośnie odpadał ze ścian, a w niektórych miejscach prześwitywały napisy w języku hebrajskim, umieszczone nad wąskimi wejściami do pomieszczeń, które kiedyś były pewnie sklepami, ale teraz pokrywały je rozpadające się opatrunki z poszarzałych desek. Bruk połykiwał bezmyślnie. Drzemały okna, a cisza oblepiała ściany.

Widziano, jak przeszedł na ulicę Krakowską i udał się w kierunku ratusza. Gdy był już niedaleko, zatrzymał się nagle i szybko zawrócił. Prawdopodobnie zauważył plakaty przy wejściu do teatru eref.

Skręcił w ulicę Skałeczną i na chwilę zatrzymał się obok domu, naprzeciwko kościoła Świętej Katarzyny. Dwa razy zawołał w kierunku okien tego domu imię Marek, a potem poszedł dalej, w kierunku kościoła na Skałce. Przed samym kościołem, przechodząc koło bramy szóstego liceum ogólnokształcącego, splunął na tę bramę. Przyczyny tego wybryku nie są znane. Potem przeszedł przez mur i znalazł się na dziedzińcu kościoła. Nie wiadomo, dlaczego akurat tam, ale przypuszcza się, że powód był następujący: w wymienionym kościele jest pochowany artysta Wyspiański Stanisław, a kilkakrotnie słyszano, jak pozytywnie wypowiadał się na jego temat.

Usiadł na murze fontanny, która teraz jest nieczynna, i wypalił dwa papierosy. Prawdopodobnie o czymś myślał, bo był zamyślony. Potem obszedł kościół dokoła i furtką, która była otwarta, wydostał się nad Wisłę.

Usiadł na ławce i z zielonej torby wyciągnął butelkę z resztą wódki stołowej. Wtedy zbliżyła się do niego jakaś dziewczyna, która kręciła się już od dwóch godzin nad rzeką i sprawiała wrażenie nienormalnej. On bez słowa wyciągnął do niej rękę z butelką, ale odmówiła. Przysiadła na chwilę na ławce, ale zaraz wstała, potem znów siadła, wstała, chodziła koło tej ławki i mówiła bardzo gorączkowym głosem. Oczy błyszczały jej nienaturalnie, a źrenice miała powiększone.

– ...na grotowskim, no i te staże, byłem, dziewięć dni byłem, góra, takie działania; ja działałam z jednym leszkiem; pokój kontemplacyjny i tam kontemplowaliśmy – oczywiście

chodziło się tam boso; białe prześcieradło, paru ludzi pięknie się otworzyło, jak w komunie; góra, znowu tam pojedę, z jednym leszkiem kontemplowaliśmy; białe prześcieradło, oczywiście boso – zauważono, jak on zerwał się nagle i zaczął uciekać wzdłuż rzeki, oglądając się kilkakrotnie z przerażeniem; dziewczyna prawdopodobnie nie zauważyła tego, bo dalej mówiła, chodząc koło ławki.

Wolno wspinałem się pod górę; dla ułatwienia drogi tym, którzy jeszcze nie zakupili wozów, czyli samochodów, zrobiono specjalne schodki; na szczycie jak krzyk protestu strzelała w chmury wysmukła wieża z radarami czy czymś takim; zatrzymałem się na chwilę, by zapalić papierosa – wezwanie na kolegium zaszeleściło przymilnie; odwróciłem się i znowu ogarnął mnie strach, jak tyle razy, kiedy schodziłem tędy o zmroku; u stóp leżało prawdopodobnie miasto, ale było niewidoczne – niekiedy wypełniały dymy, które rosły jak chore ciasto, i tylko nad kłębiącą się powierzchnią sterczały czubki wież kościelnych, wieńczonych błogosławieństwem krzyży; dziesiątki razy schodziłem tędy o zmroku, by pograżyć się w mieście, by zamienić się jak wszyscy w kawałek schorowanego muru, cegłę czy strzęp człowieka.

Obraz rozbrzmiewał pod nogami. Odwróciłem się i po kilku stopniach, tych najważniejszych – po ich pokonaniu, znalazłem się na rozległym betonowym tarasie, rojącym się od trabantów i syren. Była też jedna pluskiew, czyli mały fiat.

Minąłem restaurację, w której pewien poeta postanowił kiedyś przepić krwawo zarobione stypendium; gdy stół jego i zaproszonych gości porósł żytem, z galerii umieszczonej pod sufitem runął na ten stół jakiś nieprzytomny danciszowicz, zasypiając natychmiast wśród szczątków dobra, tłuczonego szkła i przerażonych poetów. Na podstawie tego faktu powstał później poemat liryczny o ciekawym problemie prawnym, wynikłym podczas płacenia rachunku. Minąłem tę restaurację i doszedłem do najgłośniejszego budynku.

Przed wejściem na schody rozespany strażnik kłócił się z rozgorączkowaną kobietą, która za wszelką cenę chciała się wdrzeć na górę i teraz tłumaczyła mu łamiącym się głosem, mój mąż miał dwa cele w życiu. Żeby załatwić grobowiec i telefon. I umarł. I nie załatwił ani jednego, ani drugiego. I umarł. Ja muszę prosić o interwencję, bo inaczej, to nie ma sprawiedliwości.

– nima chuja we wsi – cierpliwie odpowiadał zaspany strażnik. – bez przepustki nie da rady. nima chuja we wsi.

– dwa cele w życiu. grobowiec i telefon załatwić. i umarł. to gdzie szukać sprawiedliwości – skarżyła się kobieta.

Machnąłem strażnikowi przepustką; po raz ostatni, bo dzisiaj miałem ją oddać bezpowrotnie, strażnik machnął ręką, kobieta rzuciła się w moim kierunku, dwa cele w życiu, ale ten zagroził jej drogę. Z przepustkami była kiedyś smutna historia, bo szef Instytucji, zamyśliwszy się któregoś dnia za biurkiem, wpadł na pomysł, że należy wzmóc czujność, i wydał zarządzenie, że od następnego dnia strażnicy nie mają za boga prawa wpuścić kogokolwiek, kto nie posiada takiego kartonika, i gdy zaczął się ten feralny dzień, okazało się, że większość zapomniała swoich przepustek; ludzie, którzy kręcili się po tym budynku od lat, ze łzami w oczach błagali teras strażnika, który także znał ich od lat, by pozwolił im zająć miejsca przy biurkach; strażnik z nieruchomą twarzą powtarzał, przepustkę, przepustkę należy się okazywać, panie Józiu, coś pan, przecież to ja, to ja, no przecież; nie znam danego osobnika, odpowiadał strażnik, przepustkę się należy i cześć, inaczej nie wpuszczę za chuja pana; wreszcie zaczęli się schodzić ci najważniejsi, także bez przepustek; i mało brakowało, a Instytucja przestałaby w ogóle istnieć. Ale zarządzenie anulowano i miało ono nabrać mocy z dniem następnym.

Powoli szedłem po schodach; jacyś ludzie biegali jak szaleńcy, każdy miał coś pod pachą albo w rękach, głównie pęk rozwianych papierów czy pustą metalową puszkę na taśmę fil-

mową; ci ludzie mijali się w pośpiechu, pokrzykując do siebie w przelocie hej, hej, co miało oznaczać powitanie; taki ruch trwał w budynku cały dzień, a niektórzy zostawali nawet do późnej nocy po godzinach; kiedyś odkryłem powód tej gorliwości – kilka razy nocowałem w Instytucie, ale nigdy nie mogłem zasnąć, bo biurka pokryte były szkłem i to zimne szkło wcale się nie rozgrzewało; wyszedłem raz na korytarz i wtedy zauważyłem tych wszystkich gorliwców zbitych w gromadę; był tam taki wąski przesmyk, prowadzący do restauracji, oni wszyscy tam stali, właśnie w tym miejscu, napięci do ostatnich granic – okazało się, że z ich pozycji widać okno pokoju striptizerek, które przygotowywały się do występku.

Widziano go krążącego po budynku; chodził różnymi korytarzami i wyglądało to na poruszanie się bez celu, ale okazało się, że szukał kogoś; gdy wszedł do dekoratorni, spotkał się z mężczyzną, z wyglądu przypominającym jakiegoś filozofa o poglądach bodajże wrogich; kilka minut z nim rozmawiał, a potem uścisnęli sobie dłonie. Potem poszukiwał kogoś o imieniu Tadeusz, ale nie odnalazł go.

Wszedł do baru i zamówił herbatę, którą padano mu niechętnie. Chwilę stał przed ladą chłodniczą ze szklanką w ręce i przyglądał się kiszce pasztetówce, a potem usiadł przy stoliku.

Przy innym stoliku, niedaleko niego, siedziała grupa dziwnie poprzebieranych ludzi; byli to prawdopodobnie statyści, którzy rozmawiali ze sobą, a on przysłuchiwał się tej rozmowie kilku mężczyzn z kobietą.

– a pana mamusia na co zmarła – pytała kobieta.

– na astmę.

– aha. na astmę, od wódki? tatuś ile lat ma?

– siedemdziesiąt.

– to czemu nie ożeni się jeszcze raz powtórnie?

– tatuś?

– a jak. o mnie się starał jeden mężczyzna. przystojny gość. bogaty. wila. taksówka. ale odmówiłam. siedemdziesiąt dziewięć lat. to już jest jakiś wiek. a ja pięćdziesiąt dwa. młoda jeszcze jestem. mogłam to wszystko po nim mieć. ale co mi z tego. póki co trzeba z młodości korzystać. jestem artystyczna dusza, a tak to bym musiała mu chodzić koło dupy, i na co mi to, teraz mam swobodę i nic innego nie chcę, mogę sobą decydować, a pana kolege to ja nie znam.

– kazek mi na imie. moi bliscy mówią mi kazik. albo kiki.

Obok przygotowywała się do wywiadu jakaś kobieta. Niedługo miało zaświtać nad światem jej oblicze. Przy niej siedział siny na twarzy redaktor z wylupiastymi oczami i w błyszczącej skórzanej kurtce, która skrzypiała przy każdym ruchu. Co chwilę przesuwał wysoko na czoło ogromne okulary w metalowej oprawie, z przydymionymi zerowymi szklami. Notował coś na setkach karteczek.

– to kurcza, pani będzie łaskawa zrepetytować, kurcza, jesze powtórnie wypowiedź.

– no więc ja to lubię młodzież. i młodzieżowo ubrać się lubie. tak jak dziś na ten przykład. a młodzież to przepada za mną. raz poszłam na zabawę do sąsiedniego technikum, to mówie dziewczynkom, dziewczynki, dziś nie jestem waszą profesorką, tylko jesteśmy koleżanki. no i jeden uczeń z tego technikum to sie zakochał we mnie. formalnie. w tańcu mnie ściszał, do tego stopnia. można nie uwierzyć, ale on mi swojego serdelka chciał oddać. w bufecie. swojego chciał odstąpić; trzy wtedy zjadłam z tego wszystkiego. nie wiedziałam, jaki mam pseudonim u młodzieży. to kiedyś po dzwonku odczekałam i młodzież w drzwiach, wyglądają, a ja z drugiej strony zaszłam i słyszę, coś nasza czesia nie przychodzi, do tego stopnia. męża mam mechanika. złote ręce, koło wszystkiego robi. radio naprawi, pralkę, a jakże. telewizję oczywiście. jego brat też mechanik. ale on nie zarobi. robota mu nie idzie do ręki. na to nie

poradzi, do tego stopnia. a ja jestem tam nowoczesna, no bo jakżeż. ja to jestem chętnie zapraszana na wesela i chrzty, bo zaśpiewam i zagram na akordeonie. ja, proszę państwa, występowałam w zespole pana szczotki. do warszawy na występy się jeździło też. bardzo popularny zespół. wysoka klasa, do tego stopnia.

Redaktor ocknął się z otępienia, przesunął okulary w ogromnych metalowych oprawkach wysoko na czoło, no dobra, kurcza, efektownie to leci, tylko tego męża i brata trzeba wymiksować, kurcza; chociaż nie. zrobi się tak rodzinniej, niech pani zrepetytuje jeszcze raz, a ja będę korektował, kurcza; aha, te wesela niech pani zostawi, ale chrzty też trzeba wymiksować – i skamieniał nad karteczkami.

– no więc ja to lubię młodzież. i młodzieżowo ubrać się lubie.

Wędrowałem po wymarłych korytarzach, którym ani kropli życia nie dodawały tłumy rozwichrzonych ludzi, biegających tam i z powrotem; każdy z tych ludzi miał przy sobie plik jakichś papierów albo przynajmniej pustą metalową puszkę na taśmę filmową.

W końcu zawędrowałem na właściwe piętro i powoli, bardzo niechętnie i ostrożnie, otworzyłem drzwi. W pomieszczeniu było wielu ludzi; wszyscy o czymś mówili, nie słuchając się nawzajem. Tyłem do mnie siedziała jakaś garbata baba, ale to było tylko takie złudzenie, fatalna morgana – ona była tak malutka, że jej broda opierała się o blat biurka; głowę miała wciśniętą w ramiona; tymi ramionami przyciskała do podbródka dwie słuchawki telefoniczne, jedną ręką coś pisała, a drugą smarowała bułkę.

– znów nie ma miasta, ja się, kurwa, zabije, ja stąd odchodze.

Naprzeciw niej siedział mój były teraz szef i z radością obserwował, jak się jego personel uwija; miał na sobie zamszową kurtkę, którą szył pewnie parę zim z małych łątek, a pod szyją kolorową chustkę, zwaną fularem czyli fajfusem. Tłum się kłębił.

Dawniej, gdy bywałem tu popołudniami lub nocami, próbując zasnąć na zimnym szkle biurka, pokój stał martwy i smutny bez tych ludzi; tylko z nimi można się było tu rozerwać, bo to było najweselsze pomieszczenie całej Instytucji. Wychodziło zresztą daleko poza nią, i to w różnych kierunkach; kiedyś wszedłem tu wieczorem, zupełnie niespodziewanie; płonęło światło, a maszyna elektryczna, którą nikt nie potrafił się posługiwać – mimo że wszyscy chcieli na niej pisać – była włączona i na kartce papieru zobaczyłem jakiś tekst; nachyliłem się, panno Jadziu, pójdzie pani ze mną do urzędu stanu cywilnego, pyta szeregowy panny Jazdi z kantyny, taki pan szybki, panie Franiu, pyta panna Jazdia z kantyny, nie, obywatel porucznik kazał mi załatwić swoją sprawę; w tym momencie wszedł szef, zapinając rozporek; natychmiast wykręcił tę kartkę z maszyny; zorientowałem się, że pewnie poza swoją Instytucją obsługuje jakiś znany zespół; szef siadł za swoim biurkiem, chciał coś powiedzieć i wreszcie powiedział, no jak tam leci?; mimo wszystko było dość spokojnie – teraz ten tłum; baba rzuciła obie słuchawki, ja się zabije, i zaczęła smarować masłem dietetycznym drugą bułkę, były teraz szef popatrzył na mnie i otworzył usta jak ukleja, by coś powiedzieć; wtedy zadzwonił telefon; baba rzuciła się na łatwy łup słuchawki, bułka wysmyknęła się jej z krótkich palców i upadła nasmarowaną stroną na jakieś papiery, niewątpliwie ważne i niezbędne; nie odezwała się, tylko wyciągnęła rękę ze słuchawką w moim kierunku.

– tak. ja.

– no więc kłopoty różne z pracą. o tym kolegium też słyszeliśmy. tak. trzeba się zastanowić, bo jeszcze wszystko można odkręcić. widzi pan sam. przestrzegalem pana, że z tą pracą też może być różnie, i już pan jest tu teraz gościem. niech pan wpadnie do nas, to się zastanowimy.

Widziano, jak wyszedł przed budynek; był blady i zamyślony. Kilka minut stał w miejscu, nie zwracając uwagi na deszcz. Potem machnął ręką i zrobił kilka kroków, ale w tym momencie zatrzymała się przy nim taksówka, numer 4318. Prawdopodobnie dlatego, że machnął ręką. Odruchowo otworzył drzwi i wszedł do środka. Na podłodze między siedzeniami leżał jakiś kartonik; podniósł go i przeczytał, po czym schował do kieszeni, tej, w której przechowywał wezwanie na kolegium. Jak się okazało, na kartoniku było napisane: Uprzejmie wiadomiam o zmianie nazwiska z dotychczasowego Piotr Dietrich na Piotr Murawa.

Poza podaniem miejsca, do którego chciał dojechać, raczej się nie odzywał. Słyszano, jak taksówkarz mówił całą drogę, i wyglądało to tak, jakby mówił do siebie.

– panie, ja mam tych swoich jesieni, ale takiej jesieni to ja nie pamiętam. zimy nie ma, ani lata. samoloty odrzutowe latają, to oni wiry robią w pogodzie. taki dwadzieścia metrów nad domami przeleci, to dachy zrywa. a ile się tych diabłów w powietrzu kręci? panie! co rok to gorzej. ja już przed wojną taksówkę miałem. wtedy w mieście było jakieś gdzieś trzysta taksówek i jakieś gdzieś czterysta fiaków. forda miałem; mróz dwadzieścia stopni – raz się korbą zakręciło i jechał. a jakie szosy były? nie było szos; kocie łby były. tak że ja już nie dołączam tego lodowca. kataklizm będzie. dawniej też były takie kataklizmy. i wiadomo – była może taka technika jak dziś? albo większa? nic nie wiadomo. nauka nie stwierdziła. jeden pasażer mi mówi, ja w libii pracuje, to tam te araby marzną. w tym roku. a to wszystko na bosy chodzą, stopy zapieczone, że igły nie wbijesz, i marzną. trzy lata temu czterdzieści stopni gorączki – cały rok. a dziś marzną i my marzniemy. coraz bardziej. ale ja już kataklizmu nie dołączam. w grudniu mi się koncesja kończy.

Kierowca mówił monotonna; domy przebiegały w pośpiechu za szybami i ludzie przebiegali; przemykali się w pancerzach postawionych kołnierzy; wystawy prezentowały się jak ekrany telewizorów, a ciepłe jeszcze bary, łaski pełne, wchłaniały samotnych mężczyzn.

Przy skrzyżowaniu stał oparty o mur mundurowy; oczy miał wzniesione w górę; mówił coś; sprawiało to wrażenie spowiedzi przed samym sobą; dopiero po chwili można było zauważyć, że ma przy sobie tę arkę przymierza, krótkofalówkę, za pomocą której raz na zawsze jest połączony z niewidocznym bogiem; oczy miał wzniesione w górę, a wargi poruszały się bezgłośnie; przemknął za szybą samochodu i został.

Kierowca mówił monotonna, w takt wycieraczek, poruszających się w drgawkach po przedniej szybie; boczna ulica wyłoniła kadłub olbrzymiej wywrotki, która zatrzymała się, by nie wzburzyć strumienia ruchu; wtedy ożywił się nagle i po raz pierwszy odwrócił się do niego, tak wyskoczyć i drągiem go po kabinie, i po kabinie drągiem.

Wysiadłem na Rynku; nie miałem zegarka i żeby ujrzeć wskazówki na wieży ratuszowej, musiałem powoli podnosić głowę, by oswoić źrenice z natarczywością kropel; najpierw była kamienna ława, opętająca budynek, później wykusz, doczepiony do ściany; wyglądał jak w chorym śnie architekta i był dziełem popularnej rozgwieżdżonej telewizyjnej; potem ujrzałem tarczę zegara – południało.

Wszedłem do bramy, obszernej jak kościół; przemknąłem się chyłkiem koło klubu twórców i działaczy zetemesu i wspiąłem się na trzecie piętro.

W pokoju numer sześć nie było nikogo; na biurku leżała koperta; usiadłem nad tą szarżowaną i zapaliłem papierosa, potem ostrożnie ją otworzyłem – na szkło posypały się luźne kartki; okrągłe pismo przeczytało jednak doskonałości; droga redakcyjna, proszę o opublikowanie moich pamiętników, od kilku lat obserwuję świat. Myślę, że jestem z nim za pan brat, to znaczy że wiele zrozumiałam z jego skomplikowości. Jestem uczennicą liceum w Biłgoraju i zamierzam po jego ukończeniu podjąć studia wyższe na wydziale polonistycznym.

Postanowiłam pisać pamiętnik, bo te kartki nigdy przecież nie zdradzą, nie wydadzą moich tajemnic i uczuć. Życie moje, jeśli można tak powiedzieć, oparte jest na miłości.

14. III. Najpierw chciałam poznać Leszka O. Dopięłam swego, lecz po kilku spotkaniach zaczął mi się nie podobać i wydał mi się bardzo dziecinny, czego nie lubię u mężczyzn. Unikałam go, a on się zakochał i łąził za mną, aż mi się odechciewało. Z Edim to zupełnie inna sprawa. Poznałam go na zabawie u Iwony. Ona wówczas kochała go do szaleństwa. Edi jest b. delikatny. Jest idealny. Byłam z nim w małym pokoju. Wróżyłam z zapalek i spytałam: czy chciałbyś przeżyć, a może przeżyłeś wielką, prawdziwą miłość. Tak, odpowiedział, przy czym cały czas patrzył mi się w oczy. A z kim, ponownie padło pytanie. Z tobą!, nie zwlekał z odpowiedzią.

Pomimo że wiedziałam, że tak jest, czułam się, jakbym była czegokolwiek winna, głupio mi było.

17. III. Znowu trzymał mnie za rękę. Byłam szczęśliwą.

24. III. Edi siedział ze mną na tapczanie i obejmował mnie. Trochę całowaliśmy się. Potem chciał mnie pocałować z języczkiem; ale nie chciałam. Potem poszedł.

29. III. Edi był u mnie. Porozmawialiśmy, a potem jak grom z jasnego nieba spadła na nas kłótnia. Ale Marek zachował się jak prawdziwy mężczyzna, a ja oczywiście jak ostatnia idiotka. Powiedziałam Markowi, że nie pozwolę się dotykać. Głupio mu się zrobiło, ale nie pogniewał się na mnie, tylko przeżywał to wewnątrz.

Odłożyłem te kartki. Na biurku leżał jeszcze jeden list z moim nazwiskiem na kopercie; miałem zamiar go nie czytać, ale później rozerwałem kopertę, święty Antoni, módl się za nami, za nasz dom, za nasze szczęście. List podobnej treści wysłany z Ameryki przez O.O. Misjonarzy ma tą drogą obejść cały świat. Po dokładnym przepisaniu wyślij te listy przez kolejne 13 dni. 13-go spotka cię szczęście. Proszę cię gorąco, nie przerywaj łańcuszka. Wyślij codziennie po 1 liście osobno tym, którym dobrze życzysz. Pewien rodak z Argentyny zniszczył kontakt z Łańcuszkiem i po 13 dniach utracił życie. Ktoś przeciwny nie wysyłając nikomu zginął w wypadku samochodowym. Pewien rodak wypełniając zasady Łańcuszka wygrał 300 tys. zł. Proszę cię bardzo, wyślij bez zwrotnego adresu i czekaj na radość, która cię nie ominie.

W tym momencie przyszła mi do głowy myśl o ucieczce. Odezwał się telefon, ale nie podniosłem słuchawki. Dzwonki powtarzały się nieregularnie jak sygnały znanego alfabetu; wyjąłem z kieszeni wezwanie na kolegium i schowałem je w szufladzie. Potem jednak, po chwili zastanowienia, umieściłem je na powrót w kieszeni.

Widziano go, jak zbiegał ze schodów, ale nie wychodził główną bramą, tylko skręcił w lewo i wy dostał się na małe podwórko. Przeszedł kilka kroków, następnie skręcił w prawo, otworzył drzwi, i znalazł się koło portierni, w budynku przy ulicy Wiślniej. Zauważył go także portier. Ulicą Wiślną doszedł do filharmonii i tam w sposób sprzeczny z przepisami wskoczył do tramwaju numer trzynastego, który właśnie ruszał z przystanku. Biletu nie skasował. Obok niego stało dwóch osobników i jeden mówił do drugiego, jak ja byłem na chorobie trzy tygodnie, to dostałem dziewięćset dwadzieścia złotych. Władek jak był na chorobie, to dostał tysiąc trzydzieści. No i, kurwa, nie wkurwiłbyś się?; ci dwaj wysiedli, a on jechał dalej. Rozsunął okno i wystawił głowę, mimo że padał deszcz.

Ta jazda trwała około pół godziny. Wsiadł na pętli i udał się w kierunku przystanku kolejowego.

Na dworcu czekał około dwudziestu minut i gdy zatrzymał się pierwszy pociąg, wsiadł do wagonu. W pierwszym przedziale było wolne miejsce, więc zajął je.

Pasażerstwo rozmawiało, ale ludzie nie słuchali się nawzajem. Pływały słowa, płynął pociąg – już mniej płynnie. Ślinotok myśli.

– przysiadł się, co pani kupić, kawkę, może coś mocniejszego, dwa koniaki – sześćdziesiąt pięć złotych samego rachunku.

– taki taniec – kółeczko – jak mężczyzna jest na wizawis pani, to pani mruga i się rozumiecie, umówione znaki.

– ławnika z kolei w warszawie poznałam, półtora roku do mnie przyjeżdżał; sto trzydzieści kilo, metr osiemdziesiąt. no bo pierwsza klasa w pociągu darmowao to przyjeżdżał.

– jest małżeństwo. on opublikował już dziesięć traktatów naukowych i będzie się kształcił na docenta. rozwiódł się. bo się okazało, że przez dziesięć lat małżeństwo nie zostało konsumowane. on nie miał skłonności. teraz tak. mógłby się ożenić. tylko żeby żona nie przejawiała skłonności. stolarz kaprul ma taką partię dla niego. syn stolarza kaprula ma dwadzieścia pięć lat. żyje z jedną kobietą, co ma czterdzieści osiem i wytwórną przedmiotów plastycznych. ta kobieta ma córkę trzydziestoletnią, która nie przejawia skłonności, syn stolarza kaprula może zagwarantować. no więc on mógłby się spokojnie kształcić na tego docenta.

Słyszano, jak on niespodziewanie powiedział na głos do podróżnych: pocałujta w dupę wójta, czym wywołał zgorszenie, po czym wyszedł ma korytarz. Wysiadł na najbliższej stacji, na której zatrzymał się pociąg.

Na peronie, na którym się znalazłem było zimno; wiatr zmagął się z deszczem, ale mogłem się ukryć pod dachem z falistej blachy, który ciągnął się przez kilkanaście metrów. To był peron drugi; na pierwszym, przy budynku dworcowym, kilku młodych ludzi walczyło ze wstęgą czerwonego materiału, którą usiłowali przymocować do dwóch słupów. Wstęga miała z dziesięć metrów długości; była wyjątkowo oporna; stawiała opór na wietrze i nie pozwalała się unieruchomić.

Tymi kilkoma ludźmi kierował mężczyzna w marynarce z postawionym kołnierzem, posypanej lukrem łupieżu; w dłoni trzymał nieprzydatny do niczego młotek, którym co chwilę wymachiwał, wydając polecenia.

Przyglądałem się z ciekawością, starając się odczytać napis na materiale; składał się on z białych liter wyciętych w bristolu i te litery, dotknięte deszczem, falowały się teraz i kurczyły, nie mogąc wydać głośnego okrzyku. Usiłowały mi coś powiedzieć szeptem, ale wiatr szargał je, tak że po kilku próbach musiały zamilknąć.

Po półgodzinie wydawało się, po czterech wypalonych papierosach – że wszystko jest gotowe, kierownik machnął w powietrzu młotkiem, unicestwiając kilka kropel deszczu; w tym momencie wybuchł łoskot – to na stację wpadł międzynarodowy ekspres; załopotало płótno; uderzone gwałtownym podmuchem oderwało się od słupów; w jednej chwili poraził je rozbuchany elektrowóz – zginęło skotłowane rozszalałymi kołami.

Człowiek w marynarce z postawionym kołnierzem stał oniemiały; było już zupełnie cicho, a on podniósł nagle dłoń z tym młotkiem i bezradnie pogroził nim w kierunku, gdzie przepadł ostatni wagon. Potem ta ręka opadła – odwróciłem wzrok i przeskakując tory znalazłem się na pierwszym peronie, a potem pchnąłem drzwi z napisem restauracja dworcowa.

Ludzi było dość dużo i ani jednego wolnego stolika; dosiadłem się do kogoś i trwałem tak nieruchomo; dopiero po dłuższej chwili podniosłem głowę; człowiek, który siedzi naprzeciw mnie, za wszelką cenę chce zwrócić na siebie uwagę. Kręci się na krześle i mruga porozumiewawczo z twarzą pełną tajemnicy.

Obok krzyczy pijany kelner, zaczynam go słuchać; póki ja jestem, wszystko będzie, umre, nic nie będzie, ale póki ja jestem, wszystko jest!

Mężczyzna naprzeciw mnie odchyła połę marynarki; błyska coś okrągłego jak niklowana moneta; on uśmiecha się tajemniczo i mruga; przyglądam się uważnie i rozumiem zaraz – to błyszczące słoneczko to kapsel na półlitrowce hary; on patrzy na mnie z zadowoleniem.

– jest rakietka! – odzywa się po raz pierwszy.

Nie wyciągając butelki z wewnętrznej kieszeni marynarki, pochyla głowę i wargami dotyka zamknięcia; wygląda to jak lubieżny pocałunek, ale jego zęby już pracują, zrywając srebro z szyjki. Jeden nieostrożny ruch i nagle widzę, jak usta zakwitają mu krwią – pojawia się na

nich ten czerwony pająk; on nie zwraca nawet ma to uwagi – przechyla się do tyłu, sięgając do sąsiedniego stolika. Chwyta z niego szklankę, wącha ją i stawia na środku.

– trzeba wystartować.

Widziano go o świcie idącego torami, co jest surowo zabronione. Sprawiał wrażenie człowieka bardzo zmęczonego, kroki stawiał bardzo małe, ale możliwe, że powodem były podkłady, położone zbyt blisko siebie.

W zielonej torbie miał napoczętą butelkę wódki i szedł z opuszczoną głową.

Drugim torem przejeżdżał pociąg ze składem towarowym; on się wtedy wyprostował i machał ręką w kierunku tych wagonów. Być może myślał, że jest to pociąg osobowy. Po drodze alkoholu nie pił.

Idąc cały czas w tym samym kierunku, doszedł do posterunku odcinka drogowego Polskich Kolei Państwowych, w którym pełniła w tym czasie służbę Marianna K.

Zbliżył się do niej w momencie, gdy otwierała szlaban, i zaproponował wspólne wypicie wódki. Marianna K. zgodziła się bez wahania, mimo że przed dwoma laty na tym samym posterunku została okrutnie zgwałcona przez nieznaną sprawców.

Weszli razem do małego budynku, który miał jedno pomieszczenie. Było tam ciepło, żeliwny piecyk był rozpalony, a on stanął nad nim i grzał dłonie. W pomieszczeniu był stół, na nim telefon, jedno krzesło i stołek. On usiadł przy tym stole i wyciągnął butelkę. Zapytał Mariannę K., czy nie ma papierosów. Odpowiedziała, że owszem, nie, po czym wyszła przed budynek posterunku. Nadjeżdżał pociąg towarowy i ona, stojąc przy torach, użyła, jak stwierdzono, sygnału D2, wywijając wkoło rozwiniętą chorągiewką. Dla pewności użyła jeszcze sygnału D3, kilkakrotnie powtarzając trzy krótkie, szybko po sobie następujące gwizdnięcia. Użyła w tym celu gwizdawki ustnej. Sygnał D2 i D3 oznacza komendę stój.

Pociąg zatrzymał się, ona rozmawiała przez chwilę z załogą elektrowozu, dostała dziesięć papierosów klubowych i niezwłocznie wróciła z powrotem.

On w tym czasie nalał wódki do szklanki od musztardy i potem podał jej tę szklankę. Następnie sam wypił i zapalił papierosa, w ten sposób, że do rozgrzanego piecyka przyłożył kawałek skręconej gazety, która po chwili zajęła się ogniem. Przed zapaleniem papierosa odebrał od niego filtr.

Słyszano, jak odezwał się do Marianny K. w dziwny sposób:

– przed wojną to była kiszka. mogła wisieć dwa tygodnie, jak człowiek zjadł dwie bułki przedwojenne i tej kiszki, to człowiek był sztywny. telewizji co prawda nie było, to prawda. nikt nie miał. ani car, ani królowa angielska.

– królowa angielska to chyba miała – odpowiedziała ona, a potem zastanawiając się, zapytała, jak to kiszka przedwojenna; on odpowiedział, później, kiedyś ci to wytłumaczę; mówił do niej przez ty, mimo różnicy wieku, wynoszącej, jak później stwierdzono, szesnaście lat.

Potem wypili jeszcze po szklance wódki i on, zapytany przez Mariannę K., skąd się tu wziął, bo ona go nie zna z widzenia, a wszystkich zna, i co robi, odpowiedział, że jest listonoszem i ma wczasy wędrownie, oraz dodał, że idąc tu ułożył piękny wiersz i może go powiedzieć. Wiersz brzmiał następująco:

Z dziewczyną mów o wiosnie.

o kwiatach i miłości,

o słońcu i róż rwanu,

o przyjaźni i kochaniu.

O służbie ani słowa – to tajemnica wojskowa.

Marianna K. wyraziła się bardzo pozytywnie o tym wierszu; w tym momencie zadzwonił telefon; ona odebrała meldunek a zbliżającym się pociągu, więc wyszła, żeby zamknąć szlaban. Zabrała ze sobą żółtą chorągiewkę.

Gdy ta kobieta wyszła, żeby zamknąć szlaban, rozejrzałem się po raz pierwszy po moim nowym domu. Było bo małe pomieszczenie; stół, przy którym siedziałem, był splekany i miał szufladę – otworzyłem ją – leżały tam dwie książki. Jedna z nich miała tytuł E1 – przepisy sygnalizacji na Polskich Kolejach Państwowych, a druga, była książką kontroli kominarskiej. Na pierwszej stronie znajdowały się wszystkie szczegóły dotyczące przewodów kominowych tego domku; wynikało z nich, że nie było tu przewodów kominowych od przewodów kuchennych gospodarstwa domowego, od palenisk lub kotłów zakładów zbiorowego żywienia, od kotłów do grzania wody w budynkach mieszkalnych, od pieców spalinowych i gazowych – był tylko jeden przewód od piecyka. Tylko ten jeden, ale z następnych stron wynikało, że był stale i bardzo starannie kontrolowany. Był na oku.

Tę drugą książkę szybko wsunąłem do torby i zatrzasnąłem szufladę.

Siedziałem naprzeciw okna; domek był położony trochę poniżej torów; usłyszałem pociąg i nagle zza framugi okna wysunęła się olbrzymia lokomotywa, była potężna jak katedra; na jej tyle tkwiła ta otyła, bezzębna kobieta z wyciągniętą ręką; w rękę trzymała zwiniętą żółtą chorągiewkę. Na dowód.

Na ścianie wisiała blaszana trąbka sygnałowa; ująłem ją w dłoń, otworzyłem drzwi i zatrąbiłem, żeby usławić tę mszę – głos, który się z niej wydobył, zadziwił mnie swoją siłą; wagony się przetaczały, ona odwróciła się i obnażyła dziąsła w bezgłośnym śmiechu. Jej szczęka była pusta jak wytrzebiony las i błyszczał w niej tylko jeden samotny halogen, czyli złoty ząb.

Otworzyła przejazd tamowany pałąk szlabanu i po chwili nad torami znów przemykali się motocykliści z garbami powietrza pod kurtkami ortalionowymi. Płytkie białe kaski; skórzane paski ze sprzączkami szaleją dookoła ozdobnych głów. Pochyleni do tyłu, ledwo sięgają kierownicy wyprostowanymi rękami.

Wróciła do pomieszczenia; nalałem wódki do stakana i podałem jej; była już pijana po tych dwóch setach, ale wypila wszystko; patrzyłem na nią – była odrażająca, tak odrażająca, że budziła pożądanie.

Obszedłem stół, na którym siedziała, i sięgając przez jej ramię, zanurzyłem dłoń w otchłani pod jej kurtką mundurową; zacisnąłem palce na meduzie piersi; ona zaczęła szybko oddychać – miała świszczący oddech – zaczekaj, zaczekaj, zaraz przyjdzie zmiana – pierwszy raz zwróciła się do mnie wprost – zmiana już powinna być; jeszcze zadzwonie – oswobodziła się od mojej ręki i ujęła słuchawkę telefonu, kręcąc korbką; coś mówiła, ale nie słuchałem; wypilem resztę wódki wprost z butelki i zapaliłem papierosa, odrywając przedtem filtr. Sprawdziłem też, czy wezwanie na kolegium jest na swoim miejscu.

– jest – usłyszałem jej głos; wyciągnęła rękę w kierunku okna; z mgły deszczu wyłoniła się szara bryła niskiego mężczyzny, który mozolnie brnął wzdłuż torów – zbliżając się, nie olbrzymiał ani o centymetr.

– będziemy mogli iść, ja tu zaraz mieszkam.

Człowiek wszedł do budynku i bez słowa otrzepał buty; twarz miał tak gorzką i doświadczoną tymi kilkudziesięciami latami na jednym torze, że każdy następny dzień jego życia nie miał już ani cienia sensu.

Wolno przetoczył się pociąg osobowy, w którym dogorywała pierwsza zmiana; przedtem zauważyłem, że na czole lokomotywy prawe światło jest białe, a lewe czerwone, co to znaczy, zapytałem, te dwa różne światła, i właściwie to po co się świecą, już jest przecież widno, to jest sygnał pece dwa, odpowiedziała, oznaczenie pociągu jadącego po torze niewłaściwym szlaku dwutorowego, nie przystosowanym do ruchu dwukierunkowego.

Wyszliśmy w deszcz; jej dom z bordowej kolejowej cegły był a kilkaset metrów; otaczała go koronka rozsypującego się płotu, a w obejściu nie było widać ani jednej kury.

Szedłem obok niej w milczeniu; drzwi wejściowe pomalowane były na czerwono, a na futrynie mgliły się jeszcze zatarte litery K plus M; B zwietrzało już zupełnie; te drzwi otwały się, ona szła przodem.

Byłem w małej sieni, z której prowadziły trzy drogi – jedna do nieznanego pomieszczenia, tu na dole, druga drewnianymi schodami na strych. Trzecią drogą była droga odwrotu, o której przestawałem pamiętać; weszliśmy do tej izby na dole.

Otoczył nas brud. Umeblowanie składało się z kredensu, od którego odpadały opłatki kremowej farby, stołu i jednego krzesła.

W rogu pokoju ustawione było szerokie łóże, na którym siedziały trzy dziewczynki; były przykryte brunatną pierzyną, płaską jak pierś, i już nie spały; najmłodsza mogła mieć siedem lat, starsza, w płomieniach rudych włosów i o wyglądzie oraz gestach kurwy, najwyżej jedenaście. Trzecia była pewnie o rok starsza, ale wyglądała na trzydzieści lat, miała okulary i poważną twarz – objęła nas wzrokiem i zrozumiała wszystko.

Widziano go, jak z Marianną K. udał się do jej domu. Najpierw weszli do pomieszczenia na dole, gdzie znajdowały się jej córki. Ojcowie tych dzieci są nieznanymi. Marianna K. miała wyprawić je do szkoły.

On jakiś czas siedział na krześle; najstarsza dziewczynka przyglądała mu się badawczo i widać było, że on nie wie, jak reagować na te spojrzenia. Czuł się niepewnie.

W pewnej chwili Marianna K. powiedziała mu po cichu, by udał się na górę, gdzie jest łóżko, a ona, po wysłaniu dzieci do szkoły, przyjdzie tam do niego.

On wyszedł z pomieszczenia i schodami dostał się na strych, gdzie dobudowany był jeden pokój, o wymiarach dwa na trzy metry. Znajdowało się tam łóżko, zasłane bardzo brudną pościelą, i toaletka z ośleplonym lustrem. On cały czas miał swoją torbę przy sobie i nawet teraz nie zdejmował jej z ramienia; jakiś czas przechadzał się między ścianą i łóżkiem, ale ponieważ podłoga skrzypiała, zaniechał spacerowania i przysiadł na łóżku. W tym czasie był bardzo blady i miał mocno podkrążone oczy.

Po kilku minutach położył się na plecach, ale nie spał. Zaraz usiadł znowu, wyciągnął z torby kartkę i długopis i zaczął coś pisać. Trwało to około piętnastu minut. Potem zmiął tę kartkę, rzucił ją pod łóżko i znów położył się na plecach. Jak stwierdzono później, był to formularz do wysyłki dętek rowerowych z DZOS Stomil z Dębicy, Ch-G-D-V/041/-35. Na odwrocie znajdował się następujący tekst: Najważniejsza, tak jak teraz bez ciebie całkiem. Chociaż mogę się zwrócić w tę stronę, to nie ma twojej bezpiecznej bliskości. Tej na wyciągnięcie ręki. Jesteś tak potrzebna i niezbędna; tak samo jak na co dzień, w naszych prostych chwilach; one oczywiście nie są zwykłe i codzienne, ale wtedy gdy idziemy i ja cię trzymam za rękę – trzymam twoją dłoń ostrożnie i w ciepłe jak pisklę – to można pomyśleć, że prawie nic ważnego się nie dzieje. Tak mógłby ktoś pomyśleć. Chcę cię teraz obudzić piosenką; taką wymyśliłem właśnie, posłuchaj sobie:

Patrz: jak kwitnie ranek w oknie,
krzyczą ptaki zaskoczone,
rosa pada ze zmęczenia,
czemu oczy masz uśpione?

Słuchaj: tętni radość w skroniach,
ciało kwiatu się otwiera,
możesz na nim złożyć czoło –
dzień się rodzi, noc umiera.

Dotknij: płyną rzeki ciepła,
już się kryje sen po kątach:
ożywają szybkie palce,
choć dłoń się jeszcze błąka.

Powiedz: znowu dzień przed nami,
chcę go przyjąć razem z tobą.
Zachłysnąłem się włosami,
gdy pochylasz jasną głowę.

Będę śpiewać cię radością!
będę wołać cię nagością!
będę tańczyć cię mnogością!
będę szeptać cię miłością...

Na tym list się urywał, ale nie był to chyba prawdziwy list, tylko jakiś żart, bo zaadresowany był na górze na nazwisko Marianny K.; on mógł je znać z podpisu na książce kontroli kominiarskiej, którą sobie przywłaszczył podczas jej nieobecności na posterunku.

Po kilku minutach od napisania i odrzucenia tej kartki zerwał się znowu; torbę miał cały czas na ramieniu; zaczął nerwowo chodzić i słyszano, jak się cicho odezwał, mimo że w pomieszczeniu prócz niego nie było nikogo. Powiedział, uch jak mi się chce lać.

Potem wybiegł na strych, chwilę tam myszkował, wreszcie znalazł się przed stertą starych butów różnych rozmiarów i na te buty zaczął oddawać mocz. Gdy zapinał spodnie typu dżin-sy, usłyszał szelest i odwrócił się.

Za nim stała ta najstarsza dziewczynka; widać ją było tylko do połowy, jej popiersie, bo stała na schodach nieco niżej; nie odzywała się, tylko patrzyła na niego; w jej dużych oczach, które błyszczały mimo szkieł okularów, było tyle pogardy, że on nie mógł znieść tego wzroku; zmrużył na chwilę oczy, potem podniósł powieki, wcisnął głowę w ramiona i rzucił się w kierunku schodów, mijając ją; w kilka sekund był już na dole – kopnął drzwi i uderzyła go fala deszczu.

Biegł, nie oglądając się; biegł na oślep i przed siebie.

Pole wznosiło się ku górze; na twarzy ciągle miałem stygmat wzroku tej dziewczyny – biegłem w duszącym powietrzu, mocno uderzając stopami – buty wyrywały na powierzchni skiby żywego ciała ziemi.

Pole wznosiło się ku górze, ale nie był to lot w kierunku słońca: dookoła rozlegało się pole bezkresne jak Pustynia Obłędowska.

Byłem dalej i coraz wszystko się oddalało i znikało za szarym szynelem deszczu; mogłem nieco zwolnić, mogłem opanować rozpędzone stopy, uspokoić je i ugłaskać. Mogłem iść spokojniej.

Zza załomu deszczu, jak zatopiona podczas kataklizmu wyspa, wyłoniła się zagroda. Rośla tu, na pustkowiu, jak nie zauważony przez ludzi grzyb. Wiodła ku niej, pod górę, koleina błota. Aż ku aktom strzelistym topoli, które łączyły dachy ze skłonem nieba.

Dzień był mroczny od powietrza i ciężkiej skargi wron.

Opierając się murszejącą ze starości dłonią o deskę płotu, stał zgarbiony mężczyzna; twarz miał wzniesioną ku niebu: wyglądał jak stary resor samochodowy wbity w ziemię. Z nakładającymi się na siebie łupinami lat. Po tej twarzy płynęły kręte strużki wody, brużdżące skórę; stanąłem z drugiej strony płotu jak dobry sąsiad.

– planety obserwuję – powiedział człowiek; wydawało mi się przed chwilą, że nie dostrzegł mojego pojawienia się.

– teraz? za dnia? przez chmury?

– mnie to nie przeszkadza. ludzie we wsi mówią o mnie, że pomyłony. inni, że mądry człowiek, bo z proboszczem trzymam. i nawet na wesela mnie zapraszają. ale ludzie się tu na astronomii nie znają, wiedzą tylko, że jak przyjdą deszcze, to nie ma sposobu, żeby się dostać do miasta, a ja badam galaktyki i ubytki masy słońca. mogę pana częściowo zapoznać, niech pan zajdzie.

Nie oglądając się, ruszył przodem. Zatupaliśmy w sieni i już owionął nas mrok izby, która miała gliniane klepisko. Było nierówne, ale utrzymywał się tu jakoś piec, łóżko szare, jakby było porośnięte mchem, kredens i stół, na którym panoszyły się stopy puszek od konserw i słoiki po sztucznym miodzie.

Po drugiej stronie sieni była jeszcze jedna izba, którą zauważyłem przechodząc, ale dach nad nią był zawalony.

– stodoła, ale też się rozpadła kiedyś. i obora do remontu.

Człowiek pochyła się coraz niżej. Czas nagina mu karku. Tym trudniej ulatywać myślom ku wszechświatom.

– tym wszechświatem się zainteresowałem. zacząłem przeglądać rozmaite rzeczy naukowe. znalazłem podręczniki i prace z zakresu astronomii. no i niektóre rzeczy mi się tak jakoś przykleiły i chciałem koniecznie sprawdzić, czy ja coś wiem w tej sprawie, czy nie. postanowiłem się zająć nauką, bo ja nie wiem, co dalej będzie. taki mądry nie jestem, żebym mógł powiedzieć, czy da się wytrzymać, czy nie. nie wiem. już we wrocławiu chciałem dociec pewnych rzeczy dotyczących astronomii. to mnie wtedy ciekawiło, tylko że wtedy nie mogłem nic rozwiązać. rozwiązałem dopiero tu. w tym domu się urodziłem i do niego wróciłem w pięćdziesiątym szóstym. emeryturę mógłbym mieć za nauczanie. dziesięć lat w warszawie i pruszkowie przed wojną, osiem lat po wojnie. ale ja na przykład jej nie mam. bo to pole ma za dużą przychodowość. wole je od emerytury. myślę sobie, jak mnie odegnają, to pójde. od razu nie dam nikomu, bo jak przyjdą ciężkie czasy przypadkowo, to ja nie będę miał w ogóle gdzie mieszkać. i dlatego wróciłem tutaj.

Widziano go, jak spotkał się z Tomasikiem Janem, który jest miejscowym Kopernikiem. Najpierw rozmawiali przez chwilę koło jego obejścia, a później weszli do domu.

Stwierdzono, że Tomasik Jan mówił o jakichś tajemniczych sprawach, używał przy tym różnych nazwisk, które się powtarzały.

On się w ogóle nie odzywał, ale słuchał bardzo uważnie, jakby chciał z tego wynieść jakąś korzyść.

– ajnsztajna to ja czytałem już wcześniej. to mnie spotkało jeszcze we wrocławiu. mnie ten problem też męczył. to nie ma gadania. jak to jest, jak to jest, dlaczego tak jest. no i wreszcie znalazłem. to jest ta cała moja satysfakcja, że potrafiłem coś zrobić. to jest murowane i tego nikt nie ruszy. ni ma co.

ajnsztajn był stanowczo w błędzie. jak go zaczęli wbijać w dume, że on taki jest genialny, to widocznie go to popchnęło jeszcze dalej – chciał być tym genialnym! i jestem pewny, że on sam nie wierzył w to, co robił. tylko co miał gadać, jak go inni zmuszali do odpowiedzi.

żeby galaktyki, żeby one biegly tak dziwnie – jak stado gęsi w jednym kierunku? z grubsza biorąc? i im jest bardziej oddalona od tego zasadniczego kierunku, tym szybciej leci? no, pewnie! to już jest rzeczywistość.

mikroświatem się nie zajmuje. interesuje mnie wszechświat, mnie nie interesują takie rzeczy jak to, czy żyto urośnie, czy nie. nie urośnie, to mniejsza z tym.

to wszystko trzeba przygotować jak należy. powiedzmy, że ja ogłaszam prace i jest już znana budowa wszechświata. to każdy powiada, co za dureń ten człowiek, że tego nie ogłosił wcześniej, jeśli wiedział, no a ja nie mogę tego zrobić przez robote w polu. przecież jak z błędami jakimi albo co, albo zasiać tu, a tymczasem ciele zdycha. ta zima była taka. ja tu mam stare budynki i jest lichy nakryte, to mam jedną ścianę z blach zrobioną tam i obłożoną starymi kocami, żeby to zimno bezpośrednio nie promieniowało na bydłęta i żeby było cieplej w ten sposób.

Od razu to nie przyszło. to, że prędkości oddalających się galaktyk są proporcjonalne do odległości, to znalazłem nawet tak półprzypadkowo. miałem u siebie, a nie umiałem odczytać. miałem już wcześniej. na papierze i już operowałem tym. nie wiedziałem, że wśród tych wyrażań, co ja nimi tutaj operuję, to jest odpowiedź na to, dlaczego te galaktyki uciekają z prędkością proporcjonalną do odległości. po prostu przypadkowo.

a u ajnsztajna pewne rzeczy są dobre, on dużo napisał. ale wiele jest odrzucone, na tym ajnsztajn podciął swoje możliwości i niuton jest na wierzchu. nie ma gadania. anglicy mają taki jakiś ten zmysł spostrzegawczy i tak trafnie umieją. niutona przyjmuje. stare i do tej pory aktualne. nie ma gadania.

to jest rzecz ważna, co zrobiłem. taka gruba rzecz. to nie jest odprysk jakiś. tylko galaktyki. przecież my jesteśmy też w jednej galaktyce. mówi się, że w naszej galaktyce doliczyli się więcej gwiazd niż sto tysięcy. to jest już mrowisko. a jednak wszystkie mają swoje tory do krążenia, żadna drugiej nie przeszkadza. no jak to się dzieje. powinny się zbliżać, to kłócić, to rozbijać, to, to.

ja mam udowodnione. zasady przecież mam. co jest? ja udowodniłem, jak zbudowany jest wszechświat. to nie ma gadania. jak się coś chwyciło, co dotyczy galaktyk, i rozumie się, co one robią, to w takim razie budowa wszechświata powinna być jak należy, prawda? dowód na to jest bardzo prosty. tylko trzeba było na niego popaść, ja się też wstydzę, że od razu na niego nie popadłem, bo miałem go już w garści, tak jak gołębia, a jeszcze jakieś może blisko z półtora roku to nie wiedziałem, że mam, no, patrze, a ja się tym posługuję przecież.

te książeczki, co tu leżą, to przeczytałem, co mi było potrzebne, a teraz to tylko sprawdzam, żeby nie zgniły. bo tu dach niedługo będzie leciał, nie zimno mi; nie pale na razie, bo nie ma wielkiego zimna, jak będzie zimno, to będę palił. i w ogóle, to nie robie z siebie takiego jakiegoś człowieka, co by albo inaczej chodził, albo inaczej mówił, tylko do mnie można mówić zupełnie zwyczajnie. śnieg był. na wigilię i wielką noc jestem sam.

pracę obrałem trudną. to nie ma o czym gadać. mianowicie chodzi o to, żeby sobie dać radę z sytuacją, jaka jest w przestrzeni. wszędzie nie polecimy.

choćbyśmy umieli latać. jak ktoś poleci nawet z prędkością światła przez trzy lata, to co uleci? śmiech jest. rozmiar tych galaktyk jest straszny. nikt się do tej pory z tym nie uporał, nikt nie wie, co, gdzie i jak. więc ja się tym zająłem i odkryłem.

jak słońce promieniuje, traci masę. jak traci masę, to w takim razie siła przyciągania bez tej trochy masy jest słabsza, tak? i w takim razie bezwładność ziemi w ruchu swoim wokół słońca robi to, że ona oddala się, a jak się oddala, robi dłuższą drogę. no to rozumi się, że księżyc pójdzie na to miejsce, gdzie miał pójść, tak? a ziemia mu się spóźniła. jak się spóźniła, to przyrost jest potrzebny, a oni nie wiedzą i nie widzą, i nie wiedzą. no proszę bardzo, przecież to śmieszne jest.

łatwo się wszystko oblicza, jak się zna mechanizm ruchów. jak się mechanizmy zna. nauka astronomii – astronomowie to robią, astrofizycy. co mają innego do roboty? pomoge im trochę. trzeba być największy, żeby pomagać. we wszystkich działach to nie, bo przyrządów nie mam. to, co się wypracuje, to się wypracuje mózgiem. trochę im pomoge w tej dziedzinie.

Siedziałem na krawędzi łóżka i patrzyłem na tego człowieka bez ustanku. Jeszcze wcześniej wzrok powędrował od pieca pod okno. Trzy szybki były zakurzone, a czwartej brakowało; zastępowało ją rozplaszczone tekturowe pudełko; były na nim kolorowe rysunki i napisy. allegran, proteinentferungstabletten für hydrophile kontaktlinsen, pharm-allegran, vertrieb gmbh, 75 karlsruhe 1, kaiserallee 17 a; on mówił nieustannie, a ja się nie odzywałem, bo nie miałem nic do powiedzenia. On mówił pierwszy raz od bardzo dawna, może od lat. Wśród puszek na stole leżało kilka broszurek z plamami zacieków.

– przeszkadza mi ta praca w polu, ale przecież, jak się to wszystko naję, mam z pół dnia czasu i się myśli. albo ide spać, to myślę. śpie, ale w gruncie rzeczy to nie śpie, tylko myślę o tym, jak to jest. przy pracy też, rozumi się. a jakże. przy pracy fizycznej także się robi, tylko nie zawsze.

troche się napisze, co jest warte, żeby nie uleciało później z pamięci, i idzie się do roboty dalej. ja tu zeszytów zasmarowałem dość dużo. niektóre powyrzucałem, bo już niepotrzebne. jeśli są rzeczy bardzo ważne, to ja ich pilnuje. mniej ważne to wszystko jedno. to i tak beze mnie ktoś zrobi albo co. czasami tylko myślę, żeby mnie kto nie oszukał przy tej pracy. żeby tylko nie zrobił, a ktoś korzyść otrzymywał.

ajnsztajn to robił te błędy co wszyscy. on, głupek, jeszcze gorzej zrobił. pierwsza rzecz przy ruchu galaktyk, mówi tak – dlaczego one mają ruch proporcjonalny do odległości. ano, to powiedział dlatego, że istnieje opóźnienie zaćmienia, ale nie podał trafnego uzasadnienia. galaktyki oddalają się od nas i prędkość jest proporcjonalna do odległości. ale teraz przyczyna? to on powiedział tak, że istnieje siła odpychająca oprócz przyciągającej. i dzięki tej sile odpychającej. ta siła tym bardziej odpycha, im większa odległość. więc to już wpadł w taki wąwóz, że do niczego. tak ja mu to wytłumaczę, nie ma gadania. teraz nie wszystko mogę powiedzieć, dlatego, że ktoś mi potem przyjdzie i powie, że on jest autorem tych rzeczy. dlatego nie wszystko mogę powiedzieć. ja muszę sam wydać.

cielakowi nie zimno, bo się trochę zamek przymyka, a sam dam jeszcze płyty pilśniowe od zewnątrz. cielak lata koło obory i jak on lata, to płuca wtedy rozrobi i za dużo wciąga powietrza. sierść mu urosła; na zime zawsze rasta.

da się płyty pilśniowe, a z tamtej strony laski takie z chrustu, żeby w ogóle wiatr odpchnąć z grubsza. płyta nie puści. na razie ciele jest w najgorszym położeniu.

materiał mam, tylko dziś nie robie, bo święto. niedziela dziś? zaraz, od pierwszego będziemy liczyć, jak to jest, pierwszy niedziela, nie, środa. następnie ósmy środa, zaraz, zaraz. jakoś to jest inaczej. w środę był pierwszy, prawda? siedem to też środa. jak dodamy do szóstego poniedziałek, a piątego niedziela. nie zgadza się.

świat w jakiś sposób powstał. wiem, w jaki, ale nie mogę tego powiedzieć. ja się strzeżę tego, dopiero jak wydam.

myślę, że zapoznałem budowę wszechświata. tak muszę powiedzieć skromnie. a w gruncie rzeczy mogę powiedzieć, że to wiem. kończę na tym prawie. bo już nie widzę dla siebie możliwości większych. daje się zapoznać z poznaniem wszechświata. to nie tylko ruch galaktyk będzie wchodził w grę; będą jeszcze inne rzeczy wchodziły, drobniejsze. ale też ważne, ja nic nie mogę mówić. krążą galaktyki i już! nie chce tego wypuścić z ust!

teraz to nie świece elektrycznością, tylko lampami naftowymi. nastąpił taki wypadek, że nie może świecić elektryka. chyba coś się zepsuło...

Od pewnego momentu siedział przy stole i był tak zgarbiony, że siedząc prosto, składał niemal głowę na blacie. Teraz ta głowa opadła nieco, włosy rozsypały się wśród puszek i kosmyki wpełzały do zimnych wnętrz, gdzie zniknęły jak podziemne rzeki.

Łóżko, na którym siedziałem, wyścielone było szmatami i starymi gazetami; takie gazety długo trzymają ciepło. Uniosłem jedną z nich na wysokość oczu; półmrok nie dopuszczał słów do głosu, ale udało mi się odczytać kilka zdań; była to strona tygodnika studenckiego, który rozchodził się w ciągu godziny, odtąd wprowadzono tam rubrykę z poradami na te-

maty seksualne; właśnie trzymałem stronę z tą rubryką, jestem nieśmiałą, ale podobno atrakcyjną dziewczyną, studiuje. Nie jestem szczęśliwa i czuję się zagubiona. Akademik wspominał jak koszmar, ani chwili samotności i spokoju. Ordynarni chłopcy, którzy szukali przygód i publicznie pieścili naiwne dziewczęta. Byłam przymusowym świadkiem stosunków w naszym pokoju. Zawsze marzyłam o chłopcu subtelnym, delikatnym, kulturalnym. Niestety, moje znajomości kończą się bardzo szybko. Poznani, podobający mi się chłopcy dążą tylko do stosunku. Nawet ich pieszczoty nie są przyjemne; są za szybkie, brutalne, a przecież wiem, że jestem pobudliwa, i wystarczy pieszczenie piersi, abym osiągnęła orgazm, nieraz sama do tego doprowadzam. Moją tajemnicę odkryła przyjaciółka, która również jest rozczarowana i nigdy z nimi nie przeżyła orgazmu w stosunku. Z powodu zimna zaczęłyśmy spać w jednym łóżku, z jej strony wyszła inicjatywa pieszczot. Na początku udawałyśmy, że robimy to przez sen, teraz wystarczy już zgaszenie światła. Czy to znaczy, że mam skłonności lesbijskie? Nigdy nie interesowały mnie dziewczęta. Od 13 roku zaspokajałam się sama, ale zawsze wyobrażałam sobie pieszczoty chłopca. Czy utrata dziewictwa mogłaby mnie uchronić od pociągu do dziewcząt? A może moja przyjaciółka jest lesbijką? Proszę mi pomóc.

Odłożyłem opłatek gazety na swoje miejsce, podniosłem się cicho i zrobiłem tych kilka kroków w kierunku drzwi. Bezszelestnie, by nie płoszyć snu.

Potem w stronę przeciwną tej, z której mnie wydał świat, ruszyłem z boczem w dół, w kierunku szosy. W kierunku, gdzie powinna się znajdować. Krople deszczu uderzały w podłogę tak zaciekle, że gleba unosiła się lekko nad powierzchnią jak obłoki czarnej mgły.

Przeszedłem kilkanaście minut i ujrzałem żółtą tarczę słoneczną; był to krążek wycięty z blachy i umocowany na metalowym słupku: Na przystanku, oparty o ten słupek, stał mężczyzna w skórzanym płaszczu i czapce z daszkiem; od razu poznałem kontrolera; nieco z boku grupili się ludzie.

Nie czekaliśmy długo, bo na czarnym języku asfaltu zażółciła się baryłka autobusu; ludzie wyciągnęli szyje, ale po chwili znów zobojętnieli, luksus leci, a nie nasz, ale wtedy wszystko się nagle odmieniło, bo na skraj szosy wystąpił mężczyzna w skórzanym płaszczu, z kieszeni wydobył czerwone kółeczko z białą plamą pośrodku i uniósł rękę.

Autobus zatrzymał się bez szemrania; ludzie rzucili się do drzwi, w których ukazał się konduktor z ogromną głową, o wzroście karła. Popatrzył na ludzi z niemym wyrzutem i rozpaczą.

– no urwijcie te drzwi, urwijcie, ludzie! co wyprawiacie! ludzie! wyrwiecie te drzwi, z koreniami wyrwą!

Po chwili byliśmy wszyscy w środku, starzy pasażerowie na widok kontrolera zaczęli się nerwowo kręcić w fotelach; ci nowi rozglądali się po eleganckim wnętrzu, ale ten autobus luksus to jest luksus, nie? Można sobie usiąść wygodnie. Nie potrzeba stać i nóg dręczyć. Ale tu nawet stać nie wolno, świat się kończy!

Dwóch lekko zaćmionych od wczoraj pasażerów rozmawiało sobie cicho.

– kierowca to kierowca.

– a jak.

– musi mieć refleks.

– nie ma prawa przegapić.

– taki fach...

Wykupiłem bilet i siadłem z przodu, na miękkim fotelu. Autobus płynął szosą, grało radio, potem muzyka urwała się i usłyszałem głos: to mówił milicjant o sytuacji na drogach; rok w roczne zabezpieczenie bezpieczeństwa dzieciom. Ale przede wszystkim od rodziców zależy. Rodzice stale powinni powtarzać dziecku o zasadach ruchu. W okresie szczególnie jesiennym wypadki. Ze swej strony emo robi dużo bardzo dla bezpieczeństwa dzieci. Na początku roku szkolnego wysyła się pocztówki z zasadami. Chcemy też dotrzeć do wszystkich szkół. Należałoby tę sieć z każdym rokiem rozwijać. Będziemy egzekwować.

Głos był łagodny i miękki. Zasłuchany, zmrużyłem oczy i oparłem wygodnie głowę. Spałem.

Nie wiem, czy mi się coś śniło; obudziły mnie nagle pierwsze szmery miasta, ten niepokojący głos, który nie milknie ani na chwilę – zagłuszały one szum motoru; gdy podniosłem powieki, źrenic nie zaatakowało światło; na przedniej szybie miarowo drgały wycieraczkę, zgarniając kroplistą szarość z powierzchni szkła.

Niebo było zamglone; pomyślałem o astronomie, który pewnie obserwował teraz swoje odległe galaktyki; za autobusem zbiegły się pierwsze domy przedmiejskiej ulicy.

Pomyślałem, że wysiądę na najbliższym, pierwszym przystanku miasta, by powoli w nie wnikać, by to wejście nie było zbyt gwałtowne.

W miejscu gdzie dotknąłem bruku, rozpoczynała się linia tramwajowa; przewody elektryczne podtrzymywało ramię metalowej konstrukcji, przypominającej most, który spinał jezdnię, ale nie była to raczej peruwiańska Brama Słońca, po prostu początek linii tramwajowej.

Te mroczne plamy dookoła to szarość nowego osiedla, które niedługo osiedli ludzie; wznosili te bunkry, jak Majowie swoje miasta w dżungli, i jak Majowie będą teraz ufnie czekać na swojego boga, który nigdy się tu nie objawi.

Zauważono go w momencie, gdy wysiadał z autobusu na pierwszym przystanku w mieście. Było to przy pętli tramwajowej, ale on nie wsiadł do tramwaju, tylko udał się w kierunku nowego osiedla mieszkaniowego, które nie jest jeszcze zasiedlone. Tylko do jednego bloku zaczęli się wprowadzać mieszkańcy i on, klucząc wśród nie oświetlonych wieżowców, dotarł właśnie do tego, oznaczonego numerem budowlanym czterytysięcetrzyściaosiemdziesiąt sześć. Nie wiedzieć, czego mógł tam szukać.

Pod tą mroczną bryłą betonu z otwartymi ranami okien kręcił się jakiś człowiek z miotłą, był to dozorca, który zamiatał teraz swoje obejście; kijem miotły wrył w błocie dokładną granicę dzielącą jego blok od sąsiedniego i poruszał się teraz po swoim; lawirując między porzuconymi taczkami a zwojami metalowych prętów rozorywał pękiem brzoźowych gałęzi rozmokłą glebę, w której tkwił aż po kostki.

Czasami zatrzymywał się i odwiecznym gestem opierał się na kiju miotły; pod brodą został mu od tego okrągły błotnisty znak, matowy jak moneta. Jednocześnie rozmawiał z kimś, stojącym na balkonie dziesiątego piętra, uwieszonym tuż pod pułapem chmur. Była to dość duża wysokość, ale niczym nie zakłócone głosy niosły się w powietrzu, wspomagane przez deszcz, i krążyły wśród domów, gubiąc się w płaszczyznach ścian.

– pierwsze dni była na swoim i tak. o kant dupy można rozbić taką robote – mówił stróż, ale głos docierał tam, pod chałaty chmur bez przeszkód. – zadzwonili, żeby męża zwolnili z pracy, ale żeby mu nie mówili, bo by nabrał szoku.

– no pewnie – opadał głos z góry. – i co? zabiła się zaraz?

– a jak. ręka złamana i cała głowa roztrzaskana – oparł brodę na kiju miotły.

– krew jest.

– jest, pewnie.

– uuch!

– ale ona się już w locie zabiła. jak skoczyła, to dziecko spało, w tym czasie.

– a co teraz robi to dziecko.

– no śpi.

– i takie buty.

Stróż ujął miotłę w obie dłonie i zamaszystymi ruchami rozgarniał błoto pod nogami.

Skądś, spod chmur, sfrunęła zabłąkana kartka białego papieru, była to kartka wydarta przed miesiącami z kalendarza, wsch. słońca 3.30, zach. słońca 19.52, wsch. księżyca 10.38, zach. księżyca 21.57, 14 poniedziałek, Bonawentury, Dobrogosta, największą wadą ludzi jest to, że opuszczają własne pole, żeby pleć cudze, i że wymagają wiele od innych, ale mało od siebie. Nie

ma na świecie nic słabszego i nic miększego od wody, ale nic na świecie nie jest mocniejsze od niej i nikt się bez niej obejść nie może. Żabie oczka – 4 plastry kiełb. szynkowej lub mortadeli w skórce, 4 jaja, sól, pieprz, mielona papryka, zielona pietr., 2 łyżki parmezanu lub innego drobno startego sera, pełna łyżka tłuszczu. Żabie oczka podać ze szpinakiem.

Wysiadłem z tramwaju na placu Wolności; wagon był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć dwóch kobiet i mnie; one rozmawiały głośno, a ja stałem oparty o poręcz i patrzyłem na pędzący za szybą krążownik; ona jest w ósmym miesiącu i się denerwuje, oczywiście, a on wystaje pod jej oknem, to jest podobnie były zakonnik, pod drzwi przychodził za nią, a ona się oczywiście denerwuje i mężowi nic nie powiedziała; on cały dzień potrafi sterczeć na ulicy i patrzeć w jej okno – a jak zobaczył jej nazwisko na drzwiach, to napisał list polecony i ona mi ten list dała na przechowanie, żeby mąż nie znalazł, i tak się denerwuje, bo jest w ósmym miesiącu. Pani Eluniu, ośmielam się list napisać, bo trudno mi zapomnieć o tak pięknej pani, którą upodobałem. Tak pięknej urodzie miła buzia bym całował do białego rana nie tylko buzia nosek oczka cała naprawdę miła serdeczna dla mnie. Pragnąłbym miła porozmawiać serdecznie naprawdę szczerzy jestem wyrzucam z całego serca upodobałem sobie. Powinna pani mieć tchliwość serca zrozumieć szczerą moją oraz mą dobrą intencję ku pani Elusi marzenia moje ustawiczne. Słuchy mi dochodzą że jednak samotna jest p. Elusia mną gardzi dażąc sympatią. Myślę ustawicznie i obserwuje z oddali mą piękną upodobaną panią obecnie zasmuconym lecz żyję dobrą nadzieją. Pozdrawiam serdecznie ucałunki p. Elusie śle Henio. Jeszcze zatelefonuje, to sobie porozmawiamy; piękny list, ale ona się denerwuje, bo w ósmym miesiącu, a mąż nic nie wie; wysiadłem z tramwaju na placu Wolności, z zupełnie pustego wagonu, jeśli nie liczyć dwóch kobiet i mnie.

Nogi skierowały mnie w aleje, więc ruszyłem w kierunku domu, zwanego trumną, gdzie mieszka ze stu różnych profesorów; do dziś drżą oni z oburzenia na wspomnienie pewnego przedwojennego, a więc najlepszego, dramaturga i malarza, który w biały dzień wygrał zakład, że tyłem i na czworakach wejdzie na najwyższe piętro tego domu; do dziś wzdragają się na wspomnienie, że ten człowiek był pijany; szedłem pustym trotuarem, a naprzeciw mnie kroczył poważny i zamyślony czegoś starzec; kierował się na mnie, mimo szerokości chodnika, i gdy był o pół kroku ode mnie, podniósł nagle zgiętą prawą rękę i kąśliwym łokciem uderzył mnie w piersi. Zatrzymałem się i patrzyłem bez słowa za nim, trwało to kilka minut, zanim nie skryły go cienie ścian.

Odwróciłem się powoli i przystanąłem przy kiosku z gazetami; wewnątrz było oślinione światłem, więc zacząłem czytać wyłożoną gazetę.

A potem nogi dalej niosły mnie ulicą; przed którymś z domów zauważyłem przyzmę cegieł – mijając ją, ująłem jedną; była szorstka i ciepła mimo mokrej powierzchni; była jak bochenek chleba; podniosłem dłoń w górę i z całej siły trzasnąłem tą cegłą o płyty chodnika, aż pomarańczowe odpryski skoczyły mi do oczu; w tym momencie poczułem ujmujący chwyt pod rękę; było to dwóch ludzi w szarych przeciwdeszczowych płaszczach.

Nie odezwałem się; oni też milczeli; przeszliśmy kilka kroków; po drugiej stronie czernił się mur z jamą bramy – tam się poprowadziliśmy.

Drzwi otworzył mężczyzna w białym kitlu; w ciemnym korytarzu spoczywały wzdłuż ścian obite ceratą ławki. Był wczesny wieczór i w pomieszczeniach trwała mglista cisza, obok, w kącie, był kontuar, na którym położyłem swój osobisty dowód.

Potem szliśmy długim korytarzem, który był zakneblowany przez stół, za którym stało krzesło z urzędnikiem.

W tym korytarzu zamiast ścian były metalowe siatki, które połyskiwały fioletowo; w oknach tych siatek wpięty był jeszcze spokój – doszliśmy do stolika wieńczącego korytarz.

– jestem trzeźwy – powiedziałem do mężczyzny siedzącego za tym stołem; był ubrany na białą, a szyję zaciskały mu kleszcze słuchawek lekarskich.

– taa, trzeźwy – odpowiedział, nie podnosząc głowy; był zajęty wypełnianiem jakichś rubryk.

– popatrz pan na mnie. trzeźwy – on uniósł głowę, zatrzymał na mnie wzrok, a potem powiedział, idź pan korytarzem po tej czarnej linii; odwróciłem się i ruszyłem naprzód po wymalowanej czarnej farbą kresce, czułem się jak linoskoczek, ale nie zwracałem uwagi na swoją linię, szedłem zamyślany i nagle smagnął mnie przez plecy jego ostry krzyk, nazad! mechanicznie odwróciłem się i tą samą drogą zbliżyłem się do stolika.

– no, trzeźwy. nie ma zapotrzebowania trzymać.

– ale kolegium będzie – mówi mężczyzna w szarym od deszczu okryciu.

Odchodzę powoli, w kieszeni chrzęści wezwanie na kolegium, o którym oni jeszcze nie wiedzą, i gdy odbieram dowód przy kontuarze, podchodzi do mnie pielęgniarz w białym kitlu i odzywa się cicho, da się obgadać.

– będzie kolegium – odpowiadam.

— da się obgadać – powtarza – skocz pan po połówkę, to ten, tego.

– gdzie teraz może być otwarte.

– a na kazimierza.

– zdążę.

– zdążysz pan.

Przyglądam mu się z wysiłkiem, by zapamiętać twarz; poznam pana? A jak mnie tu nie wpuszczają?

– wpuszczają, wpuszczają – odpowiada. – tu drzwi otwarte dla wszystkich.

Po niewielu minutach wracam; on stoi oparty o mur; jaka gorzała, była tylko ta; to szkoda, żeś pan tam dymał, tu wizawis można żyto kupić na pierwszym piętrze, ale dawaj pan. do zobaczenia.

Wdziano go, jak po incydencie na ulicy Łobzowskiej skierował się na ulicę Basztową i tam wszedł do bramy domu numer 193, gdzie na pierwszym piętrze mieści się melina byłego artysty grafika, Marek S. Jest ona trudna do udowodnienia, bo Marek S. handluje wyłącznie piwem. Poza tym posiada on chorobę umysłową, którą się zasłania.

Z ulicy zobaczył, że w oknie pozbawionym szyby tli się czerwono-światło; skręcił do bramy i drewnianymi schodami, powoli, krok za, wszedł na czwarte piętro. Szerokie drzwi były pozbawione klamki; zastukał w nie kilkakrotnie umówionym sygnałem; po chwili usłyszał kto, ja, odpowiedział: odezwał się szcęk sztaby i wierzeje się rozwarły. Właż; szybko znalazł się w środku, we wnęce, po obu stronach drzwi były wykute w murze dwa otwory, tamten założył metalowy pręt, wtykając końce, w te zranione do żywego cegły.

Znaleźli się w ciemnym pomieszczeniu podzielonym przepierzeniem; gdy przechodzili, ujrzał, jak nad żeliwnym zlewem, stojąc na krześle, nagina się dziewczyna; skończ już szczać, odezwał się tamten; przeszli do drugiej kamery.

Zakręciło mu się w głowie; nad podłogą snuła się siwa materia spalin, które wydobywały się z piecyka na ropę naftową; odliczył trzydzieści złotych i otrzymał za nie trzy butelki piwa, wydobyte z rozsypującej się szafy.

– jak? – zapytał tamten.

– jak wpół do szóstej.

– dlaczego wpół do szóstej?

– wskazówki w największym zwisie.

Czarna podłoga była zasłana grubą warstwą niedopalków i popiołu, w którym zanurzony po kolana stał okrągły stół i kilka połamanych krzeseł; Marek S. siadł do fortepianu ustawio-

nego pod oknem i przestając się interesować czymkolwiek, co działo się dookoła, zaczął grać na kilkunastu ocalałych klawiszach koncert Czajkowskiego, na ścianach wisiały dziesiątki portretów tej samej twarzy kobiecej o porażonych oczach schizofreniczki; siadł na zbutwiałym materacu, przyłożył szyjkę butelki do nogi fortepianu i pociągnął ostro; kapsel odskoczył, a na podłogę pociekło trochę białej niewinnej piany.

W rogu pokoju siedział na krześle starzec, był pochylony; dłonie dzierzące butelkę tkwiły między kolanami; kołysał się miarowo, zapatrzony w dół; przy stole siedziało dwóch młodych – jeden z podpartą głową nie odzywał się; między rozstawionymi na policzku palcami prześwitywało małe serduszko, wytatuowane w kącie oka; drugi szkicował w bloku.

Na stole, machając nogami, siedziała kurwa. Zeskoczyła z blatu i przycupnęła przy nim; długo się nie pokazywałaś, mówili mnie, bo mnie też nie było; dwa miesiące garowałam u czubasów.

– długo jeszcze, poetka – krzyknęła w stronę przepierzenia; nikt się nie odezwał – usnęła frańca.

– nie mam gdzie mieszkać — powiedział.

– a u dupy?

– bez układu jest.

– dziś to możesz tu zostać, ja teraz u dziadka w hucie kibluje. zameldowałam się w jego garzonierze i jak on się przenicuje, to tam zostanie. tylko teraz ciężko z nim wytrzymać, bo jest piardolnięty; jak przychodzi w nocy, to on, gdzie byłaś, gdzie byłaś, dziwka, dziwka, dziwka, idź skąd wracasz, idź skąd wracasz – co ja mam robić z tą starą parową.

Zza przepierzenia wraca poetka, zwana Syfona, ja ci załatwię dobrą chatę, piękny film wymyśliłam, on bez ręki zjada butelkę.

Szedłem przez plac Mariacki; chyba zbliżała się okrągła godzina, bo pod wieżą zebrał się tłum skulonych na deszczu ludzi; mężczyźni ubrani byli w ciemne marynarki z postawionymi kołnierzami, na dłoniach mieli rękawiczki; przede mną wolno poruszała się staruszka; spod czyjegoś buta pryska pod jej nogi kamyk; ty chamie, ty bańdziorze, bandyto jeden, piszczy histerycznie; pod niebem odzywa się brzęczenie hejnału; ludzie patrzą w górę, z głowami odrzuconymi do tyłu jak podczas koszmarne go snu, tam, tam! w tamtym okienku!

– dużo zdrowia! dużo zdrowia, kochany! wszystkiego jak najlepszego! – odzywają się brawa.

Drżącymi palcami. chwyta mnie za rękaw jakiś zarośnięty człowiek, panie najdroższy, kup mi pan flaszeczkę salicylu, bo mnie to nie sprzedadzą, co panu zalega; ogolić się nie mogę, bo nie mam się czym potem posmarować i tak chodzę jak łachmyta jaka; panie najdroższy.

Odszukuję kierunek; prowadzi mnie instynkt, jeszcze niezawodny; przemierzam Rynek i wchodzę do bramy domu numer dwadzieścia pięć, przemykam się obok klubu działaczy kultury i twórców zetemes i po chwili wbiegam do redakcji.

Gdy zamykam za sobą drzwi, słyszę, jak razem z cichym trzaśnięciem odzywa się dzwonek telefonu, tak jakby wywołało go moje przyjście, słyszę głos sprzątaczkki, nie wiem, czy jest, zaraz się rozpatrze; wychodzi na korytarz i zauważa mnie; telefon do pana.

W pokoju numer sześć leży na stole słuchawka, podnoszę ją i słyszę znajomy skądś głos; no, co ciekawego słyhać, jak się udała wycieczka za miasto? Ale my tu gadu, gadu, a tu sie okazuje, że nowe kłopoty jakieś? Co to było na Łobzowskiej? Ciężka sprawa, bo wie pan, drugi wniosek na kolegium, ciężka sprawa. Ale można jeszcze wszystko odkręcić. Niech się pan zastanowi i wpadnie do nas przed tą pierwszą rozprawą. Na wszystko jest zawsze rada. No jak? Jesteśmy umówieni?

– nie mogę w tej chwili rozmawiać. mam międzymiastową z drugiego telefonu.

– nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. skontaktujemy się później, a tej meliny na Basztowej niech pan raczej unika.

Siadam przy biurku, na stole leży szara koperta; ostrożnie oglądam ją pod światło. Z wnętrza wysypują się karteczki, zapisane dwuwierszami, wysyłam garść fraszek i proszę o zaawizowanie, w którym numerze się ukażą, cześć mu swą oddawała, rozchylając kolana, najpiękniejsze są haleczki na ciele panny Uleczki, kiedy żona myje nogi, uważaj, bo przyprawi ci rogi; odkładam te kartki na bok, bo słyszę głos sekretarki, która mnie woła; szef pana wzywa – znikam za pulchnymi od skóry drzwiami.

– ten reportaż z fabryki jest aktualny? – pyta szef; tak, odpowiadam, za cztery dni jest ta impreza, zaglądam tam od czasu do czasu, a materiał przyniosę dwa dni po tym, jak to się skończy.

– no to dobra – cieszy się szef; kiedyś przyniosłem reportaż, po który wpadłem aż do Tomaszowa; siedziałem potem po drugiej stronie biurka – za burtą, a kierownik działu reportażu czytał mój tekst na głos, żeby się lepiej wczuć i broń boże niczego nie przegapić;

Szliśmy zabloconą ulicą, wśród zabloconych domów. Cała niedziela w miasteczku była zablocona, bo rano zaczął topnieć śnieg; kamienice wyglądały jak pokryte szarą pajęczyną i nawet błyszczący pomnik na rynku nie błyszczał dzisiaj.

– zobacz, pogrzeb.

Główną ulicą ciągnął powoli tłum; na trotuarach formował się szpaler; ci z tyłu wyciągali szyje z wytartych kołnierzy, by żaden szczegół nie umknął wzrokowi.

– chłopak się zabił. słyszane rzeczy. żeby zimą motór brać!

Niektórzy z obstawy na trotuarach przyłączali się do pochodu, gasząc przedtem twarze, inni stali nieruchomo jak wyschnięte studnie.

– płacze. matka.

– jezu. ale płacze.

– kto by nie płakał. ja dziękuję.

– dzindobry panu profesorowi. chłopak się zabił.

– dzień dobry – odpowiedział i poszliśmy dalej; to znaczy dookoła rynku, po orbicie pomnika. Patrzyliśmy w jamy witryn. Za szybą u fotografa zamknięto w akwarium wystawy historię wszystkich mieszkańców miasteczka. Zdjęcia nagich, nieświadomych niczego niemowląt, na tygrysięj skórze, którą imitowała spłowiła wojskowa panterka. Zdjęcia ślubne. „Zdjęcia nagrobne najwyższej klasy, w kolorze – wzory”. Przed urzędem wisiała gablotka – wewnątrz powykręcane żółtawe fotografie z jesiennych manewrów straży pożarnej i barwny plakat z samolotem i podpisem: AN-24. Used by LOT since 1966. Seating capacity 44. Cruising speed – 450 km/h. Grupa miejscowych w błyszczących butach ze stalowymi klamrami obserwowała przeciągające leniwie dziewczyny w sztywnych płaszczach z laminatu. Stał zegar na wieży kościelnej.

Szef podniósł głowę, potem pochylił się nad papierem, krejzing spid czterysta pięćdziesiąt na godzinę, powtórzył cicho i wpił się we mnie wzrokiem; zły uśmiech zakwitł mu na wargach; no, kolego, co to za numery; wy myślicie, że będziecie ze mnie balona strugać? Ten samolot, to myślicie, że to jest nieczytelna dla mnie aluzja. Co? że niby wolno lata? Czterysta pięćdziesiąt na godzinę? Chcecie powiedzieć, że kraj się tak powoli do przodu posuwa... I ten typ samolotu – zaczął krzyżeć – ten sam typ co kiedyś uległ katastrofie w Zawoi! Że niby... – tu słowa nie mogły już przejść mu przez gardło – ja z siebie balona nie dam strugać!

Widziano, jak po wyjściu z redakcji udał się na ulicę Szczepańską; można było przypuścić, że chce wejść do klubu dziennikarza na obiad, ale on przeszedł obok bramy i skręcił do restauracji „Trzy rybki”. Tam zajął miejsce przy stoliku, gdzie siedziało już dwóch obywateli.

Wziął do ręki kartkę, gdzie na początku źle odbitą czcionką maszyny pisało zakąski.

160/40 g śledź po japońsku – 8.80.

- 100/60 g śledź w oleju – 5.20.
- 200/80 g śledź w śmietanie – 8.30.
- 200/100 g śledź marynowany – 5.40.
- 150/100 g karmazyn w galarecie – 6.30.
- 125/70 g filet z morszczuka w gal. – 8.20.

Było tam jeszcze bardzo wiele różnych pozycji, a na dole pod tym wszystkim było kilka nazwisk na wszelki wypadek – zastępca kierownika zakładu Halina Kania, kalkulator Stanisława Słonina i szef kuchni Mistrz Władysław.

Jeden z tych dwóch siedzących przy stoliku odwraca się w jego kierunku i patrzy przez chwilę uważnie.

- dziewczyna zawiodła.
 - coś w tym stylu.
 - nie ma się co opierdalać, w pana wieku to ja nie schodziłem poniżej litra.
 - bo wtedy były litrowe butelki.
- Rozmowa się kończy i ci dwaj wracają do siebie.
- co to jest ta skumbria.
 - no i co?
 - ale co to jest ta skumbria.

– najlepiej, bracie, zamów to. ja kiedyś nie wiedziałem, co to jest gryf. i zamawiam u kelnera. a on mówi, że nie zjem, ja mówię, że zjem. bo restauracja, nie? on mówi, że dobrze, coś kosztowało dwanaście trzydzieści. no i przynosi. a tu, bracie, normalny krowi cyk! Krowi cycek! no to żem musiał obciągać bez zagryzki. wszystko weźme do gęby. ale nie krowiego cyca. a kelner mówi nie mówiłem.

– najlepiej przywieź se meter ziemniaków – odpowiada drugi. – czerwoną kapustę i białą. i będzie już. nic wtedy nie zamawiasz. ty, ale co to jest ta skubana skumbria.

On zamawia śledzia w oleju, śledzia w śmietanie i śledzia marynowanego. Chleb i herbatę. W ostatniej chwili, gdy kelner oddała się już, woła, i sete do tego, to nie można było od razu gadać.

Miałem zatelefonować do poetki zwanej Syfona; ta Syfona obiecała mi całkiem niezłe mieszkanie; starałem się jak najostrożniej stąpać po stopniach wiodących do klubu dziennikarza – niemal unosiłem się w powietrzu – ale to nic nie pomagało i te drewniane stopnie skrzypiały jak ból wszystkich zębów.

Gdy byłem w połowie tych schodów, drzwi na pierwszym piętrze otworzyły się z trzaskiem i na podeście ukazał się jakiś mały, który trzymał bełkot; widziałem go w tym klubie kilka razy; zawsze był nachalny i trzymał bełkot, coś o ułanach, w których służył; nikt go nie chciał słuchać i on obrażał się na wszystkich – teraz dopadł mojego rękawa – z bełkotu zrozumiałem, że jest na mnie obrażony, bo nigdy nie służyłem w ułanach, zjeżdżaj, kucyku, powiedziałem, a jego poniosły w dół nogi, z pęcunami spętanymi gorzałą.

Wszedłem do środka – koło szatni wisiał automat i gdy się tam skierowałem, ujrzałem salę kawiarni; wyglądała jak kasyno.

– szukali tu pana – odezwał się portier Józef – to jest, znaczy się, dzwonił jacyś i rozpytywali się o pana. powiedziałem, że nie wiem, a oni powiedzieli, że pana znajdują.

Poetka Syfona zostawiła mi swój numer telefoniczny; szukałem go po kieszeniach i wtedy natrafiłem na to wezwanie; szybko cofnąłem rękę; kartkę z numerem miałem w torbie.

Numer nie odpowiadał.

Odwiesiłem ciężką słuchawkę i powoli wszedłem do kasyna; postanowiłem, że tu zaczekam do następnego telefonu, bo nie chciałem bardziej zmoknąć, kurtkę miałem już ciężką od wody z dzisiejszego nieba.

Dziennikarze siedzieli przy stolikach; każdy trzymał w ręku gazetę i z zadowoleniem wpatrywał się w swój napisany poprzedniego dnia tekst; znalazłem jakieś wolne miejsce i usiadłem twarzą w kierunku kontuaru, tak by nie widzieć ścian, pozawieszanych dziwnymi obrazami; jakaś artystka znalazła nową technikę, za pomocą której mogła wypruć przed publiką swoje bebechy; nad kontuarem także zauważyłem jeden z jej obrazów – był na nim łeb osła i popiersie dość żrącej kobiety – do tego wszystkiego na obszarze całego płótna przyklejane były pęki rudych kłaków; znów musiałem opuścić oczy.

Od kontuaru szedł człowiek z batem pod pachą; był to pewnie ten dorożkarz cierpiący na chorobę, która zmuszała go do przemawiania wyłącznie wierszem; do stolika doniósł dwie szklanki, wypełnione do połowy kawą. Potem, nie rozstając się z batem, wrócił po dwie szklanki gorącej wody. Do wody dolewał kawy, a do tego wszystkiego wodę z butelki, umieszczonej w wewnętrznej kieszeni marynarki; nie wydobywając jej, pochylał się głęboko nad stołem, ta woda ciekła do szklanki; jednocześnie koniec bata podnosił się, trącąc między oczy faceta w eleganckiej koronkowej koszuli i w muszce, który jednak nie zwracał na to uwagi.

Pił z kimś, kto po każdym podniesieniu otrząsał się z obrzydzeniem i z uśmiechem.

– moja ulica będzie w krakowie, oświadczam ci. niech się każdy jeden dowie, że moja ulica będzie w krakowie.

– i co ci to da – odpowiadał tamten, otrząsając się z uśmiechem i obrzydzeniem.

– jak to co. będą się ludzie radowali, że mnie spotykali.

– a wiesz, co ja bym chciał. rente zawieszę i podpiszę z orbisem na drynde.

– ja ci pomogę, bo ja dużo mogę.

– ci wierze, że mi pomożesz.

– ze mną wszystko załatwisz. ja się postaram i to od zara. ale ci nie mówiłem, bo się pogubiłem, że moja ulica będzie w krakowie, niech się każdy jeden dowie. oświadczam.

– i co ci to da.

Wstałem i poszedłem do telefonu. Tym razem zastałem Syfonę i zapisałem sobie adres oraz imię człowieka, do którego miałem się zwrócić.

– a może dziś do mnie wpadniesz na kimono – zapytała w końcu Syfona.

Uniosłem palec w górę, mimo że tego nie widziała, i odezwałem się wzniośle:

– sznycler powiada: żadna zmora nie zmęczy w tak wielu rozmaitych postaciach jak samotność, a jedna z najbardziej nieprzeniknionych masek samotności zwie się miłością. trzymaj się.

Widziano, jak wyszedł z klubu dziennikarza i udał się na Rynek Główny. Po paru metrach skręcił do sklepu delikatesy.

Przeszedł koło stoiska z napojami; kilku żołnierzy kupowało tyle samo butelek wódki pomarańczówki; byli na przepustce i pewnie wybierali się do dziewczyn – stąd ta elegancja; obszedł sklep dookoła i stanął w kolejce do działu wędliny.

– proszę pół kila szynki, pół kila baleronu, dwadzieścia deka schabu i dwa kabanosy – mówi kobieta ustawiona na pierwszym miejscu przy konfesjonale.

Sprzedawczyni w fartuchu koloru przebiśniegów, bez jednej plamy krwi, patrzy na nią; wtedy do kontuaru przeciska się młody chłopak, z gotowymi pieniędzmi w pięści, przeznaczonymi na puszkę szprotek w oleju.

– nie puszczać bez kolejki chamów – krzyczy histerycznie kolejka.

– ja mam odliczone na jedną rzecz. pani ma?

– pewno że mam.

– to niech pani idzie bez kolejki.

– jak ktoś chce, to zawsze znajdzie swoją kolejkę – odzywa się nagle mężczyzna i wybu-
cha chorem śmiechem, długo nie mogąc się uspokoić.

– to chamy. pić tylko potrafią.

– i te napady i włamania do kiosków robić.

– to chamy jedne. wymaluje taka paznokcie i już. chamy.

Ta obłąkana, pierwsza przy konfesjonale, odwraca się nagle i pluje kobietom pod nogi. Potem odwraca się w stronę wyjścia. Chłopak z gotowymi pieniędzmi prostuje się gwałtownie.

– tu proszę nie pluć. tu sklep. a nie targ. tu nie targ.

Kobiety otaczają go wieńcem przychylnych spojrzeń; czuje na sobie te spojrzenia i to do-
daje mu pewności.

– tu nie targ, jesteście polakami, nie? a nie niemcami. to nie targ. co. może do ludzi będzie
strzelać. jesteście polakami!

– pan taki zdenerwowany, że meczuśmy nie wygrali? jeszcze wygramy – uśmiechają się
kobiety. – dwadzieścia deka pasztetowej.

Tamta obłąkana stoi w wejściu i wybucha straszną skargą śmiechu, ale nikt nie zwraca już
na nią uwagi.

On, nie czekając, opuszcza kolejkę i mijając ją wychodzi.

Jest wczesny wieczór; kluczę ulicami, nie mogąc się otrząsnąć z natrętnego odczucia, że
nie jestem sam, mimo że o tej porze miasto kona w samotności; tlą się szyby okien – to blask
najsłabszych żarówek ziębi wnętrza mieszkań. Trotuary i asfalty jeszcze drżą od tupotu
licznych podeszew. Wiatr obsypuje iskrami kropel rozmokłe płachty nigdy nie zdezaktuali-
zowanych gazet.

W cieniu muru szeroki kształt dłoni kobiecej, utrwalaony w zagubionej rękawiczce, a środ-
kiem pustej ulicy Brackiej toczy się krążek beretu z pasemkiem siwych włosów, nie mogą-
cych się rozstać z ciepłem głowy byłego właściciela.

Staruszka, którą doganiam, odwraca się gwałtownie i podnosi dłoń w obronnym geście –
w zaciśniętych palcach pęk postrzępionej gazety.

– ładne mam róże? ładne, żółte.

Skrzyżowanie ulic św. Jana i św. Marka oplata muzyka wydobywająca się z wnętrza sto-
łówki dietetycznej; słyhać saksofon i akordeon. Pewnie odbywa się tam zabawa, dość we-
soła; przed zamglonymi oknami stoi kobieta; zza pazuchy męskiej jesionki w jodelkę wystaje
łebek ratlerka. Kobieta jest zasłuchana; potem, otoczona tangiem, tańczy na mokrym skrzepie
asfaltu, trzymając psa w objęciach. Rozkołysana lampa ożywia blaskami powietrze i kratow-
nicę kanału.

Martwe ściany pałacu sztuki pulsują teraz życiem; wewnątrz wołają, szepczą i milczą żar-
liwie prace Szapoczników; tak zupełnie przypadkowo, z zabieganego dnia przyszłam tu i
otrzymałam tak wiele, właściwie za nic. Jedyne, co mogę jej dać za to wszystko, to niepo-
kój, który był już i któremu tacy jak ona nie dają zasnąć. Co ja z nim zrobię – pisze dziew-
czyna w otwartej książce.

Wierzeje zatrząskują się za mną z łoskotem, który rozbija się o sklepienia; uchyla się
okienko, w którym bieleje formalina twarzy; zaraz poproszę brata Józefa.

Za drzwiami korytarza potęguje się tętent kroków, mężczyzna podchodzi do mnie, a, to ty,
mówiła mi, że się nie masz gdzie zaczepić, tu parę dni możesz siedzieć spokojnie.

Idziemy mrocznym korytarzem klasztornym; nad głowami łamią się bezgłośnie gotyckie
sklepienia; on jest w cywilnym ubraniu i włosy lepia mu się do obroży golfu. Stoimy przed
niskimi drzwiami, w których trzeba się pochylić; cela numer dwadzieścia trzy; na ścianie na
wprost wisi krucyfiks, przybity ogromnym gwoździem.

Cela jest mała, ale jest miejsce na tapczan, stół, szafę i krzesło; od rozognionych kaloryferów płynie muzyka ciepła; tu masz umywalkę z gorącą wodą, a kibel jest w korytarzu na prawo; wracać trzeba w pół do dziesiątej, bo cię nie wpuszczą za klauzurę.

– możesz się teraz przespać, jak chcesz; ja wyskoczę do miasta, bo się umówiłem z panienkami w akademiku, a jak wróce, to wpadnie do ciebie.

Przygląda mi się badawczo, a ja mam skądś pewność, że znam tę twarz od dawna.

Zostaję sam; chodzę po celi dwadzieścia trzy, zaglądam do szafy i odkręcam kran z wodą, żeby się oswoić z nowym wnętrzem.

Potem siadam za stołem i pewnym, jakby od lat przyswojonym ruchem, wysuwam szufladę; jest wypełniona czasopismami o zadziwiająco różnych tytułach – to te, które śrubują nakłady, drukując akty kobiece; z okładki Forum błyska naga pierś.

Zauważono go siedzącego na blokach kamiennych z artystą rzeźbiarzem, Kruczkiem Marianem, przed jego pracownią w kramach dominikańskich. Mimo niskiej temperatury siedzieli tam już kilkanaście minut i palili papierosy.

Ludzie przemykają się chyłkiem, jakby z poczuciem wiecznej winy; przed nimi zatrzymuje się otyła kobieta, podpierająca się ciupagą; stoi przed korpusem rzeźby, przez chwilę się przypatruje – i znenacka tryska jej z gardła gwałtowny krwotok śmiechu.

– co to jest.

– co?

– co to jest. rzeźba? co ona przedstawia sobą? – krztusi się kobieta bulgotliwie.

– to część rzeźby. jeszcze niegotowa, proszę pani. jak embrion w łonie.

– na razie to jest mina przeciwzółgowa – wybucha bolesnym rykiem śmiechu. Odbiega zręcznie, wywijając ciupagę.

Inna, która się przed chwilą zatrzymała, mówi teraz szybko, nie chcąc oglądać embriona w łonie. I nie chcąc oglądać brzydkich rzeczy. Ładne rzeczy oglądać.

– a jak się pani rozejrzy po świecie. i sobie się przyjrzy. to same ładne rzeczy pani widzi?

– no, zależy. to jest inne. druga. jak spojrzeć. z punktu widzenia. pod kątem, przez to. tak czy inaczej. jak by nie powiedzieć. co by nie było. tak i nie. tu i tam – odchodzi, posuwając się jak najbliżej muru.

– czy to jest brzydsze od niej? czy ona jest ładniejsza od tego? to przetrwa, a ona nie. ona sobie z tego nie zdaje sprawy. ale i tak nie może darować. mimo nie może przeboleć. ale ci nie skończyłem o tym wojsku.

Rozstają się uściśnięciem dłoni; on rusza ulicą samotną jak dzieci weszchświata. Na moment zatrzymuje się przy kiosku; przed nim stoi kobieta, która wraca z zakupów; w ręku trzyma podziurkowany kwadracik płytki pilśniowej, który zdobyła i który do niczego nigdy się jej nie przyda, poproszę iksi, ile płace w sumie?

– jest mydło dziecinne?

– o panie, mydło dziecinne będzie jak dzwon zygmunta zadzwoni,

– to gazeta.

Do okienka przepycha się rozgorączkowany mężczyzna; w wyciągniętej dłoni trzyma kupon gry liczbowej.

– mam piątkę z drugiego ciągnięcia! piątkę! pięć złotych wygrałem!

Nie wiadomo dlaczego kładzie piętnaście złotych przed kasjerką. Ta wydaje mu dwadzieścia, sprawdzwszy przedtem dokładnie wykazy.

– ciesze się, że się pan pokrzepił tymi pieniędzmi.

On stoi oparty o mur plecami, które teraz odpoczywają i rozkłada przetrącone skrzydła gazety. Inwalidów zatrudni spółdzielnia naprzód.

– dzieci z pireneusu! jak ja to lubie, gdy mam choć trochę w dupie! – zatacza się na skałę domu pijana kobieta z przerażonymi oczami.

Apel w sprawie laski. 6 września zginęła mi laska, którą miałam od 35 lat. Na lasce wyryte były inicjały W. Z. 1935 r. Rabka. Laskę tę zostawiłam w piekarni przy ul. Długiej 7, gdzie kupowałam chleb. Proszę, pomóżcie mi, jestem inwalidką, mam 88 lat, jestem głucha, chora, laska stanowiła moją podpórę. Kto zabrał tę laskę, niech zwróci ją na adres: Zofia Wicher, Kraków, ul. Krzywa 4/1. Dziękuję. Zofia Wicher.

W gardle ulicy ukazuje się chłopak; trzyma dziewczynę za rękę; ta dziewczyna siedzi na wózku inwalidzkim, który porusza się tylko dlatego, że ona trzyma za rękę tego chłopaka, a on ciągnie wózek – i to jest jak zdobycie szczytu, na którym trwają wieczne śniegi.

Widziano go.

Stoję przed drzwiami, które zamykają wstęp do jaskini klauzury, twarz migoce w okienku, a potem odzywa się brzęczenie – drzwi ustępują; jakiś mężczyzna tu był i pytał o pana, krzyczy furtian; zamykam je za sobą.

Wchodzę do łazienki; trumienki wanien połyskują w chłodzie żarówki; korytarzyk i kabiny kibli – gdy jestem w jednej z nich, czytam wyryty na desce napis memento mori i czuję nagle na sobie czyjś wzrok, w cienkiej ścianie, oddzielającej mnie od drugiej kabiny widzę rozjarzone oko, tkwiące w kwadratowym otworze, wyciętym w dykcie scyzorykiem; oko znika – gwałtownie otwieram drzwi i widzę habit, rozwiewający się w ciemności korytarza jak czarna płetwa rekina ludojada.

Wędruję wśród mroku, cichego jak stojąca woda, szukam swojej celi i nieustannie słyszę głuchy łomot, który powtarzają stropy; zbliżam się ku niemu, on narasta coraz bardziej. Przed sobą widzę bliźnię światła, która ciągnie się między posadzką i szerokimi drzwiami; uchylam te drzwi i widzę wnętrze ogromnego refektarza, który w lepszych czasach służył mnichom; łomotanie opada mi na głowę jak stado nietoperzy.

Na środku refektarza jest rozciągnięta siatka, a po jej obu stronach wyznaczone jest boisko. Na nim dwie drużyny; są to młodzi klerycy, rozebrani teraz do podkoszulków; milczą w groźnym napięciu i obserwują lot piłki; to ona tak łomocze o ściany i stare wielkie portrety z wizerunkami szerniałych surowych twarzy; w pomieszczeniu unosi się ostry zapach potu, klerycy wkładają w uderzenie całą siłę; gdy pozbyli się habitów, które leżą teraz w kącie na stosie, wyglądającym jak oko bagna, widać, że są to silni, spoceni mężczyźni, którzy podczas tej ciężkiej gry zrobią wszystko, by zapomnieć o bólu pozbawienia się kobiety.

Szybko zamykam drzwi, by wymazać ten obraz. Odchodzę nie zauważony.

Znajduję swoją celę dwadzieścia trzy i przekręcam ogromny klucz w zamku. O nogi rozbija mi się łagodna fala ciepła.

Kładę się na plecach; nad głową groźnie pochyla się krzyż, przybity potężnym gwoździem; nie chcę i nie mogę spać, leżę spokojnie, patrząc w środek sklepienia, w to wgłębienie jak po pepowinie, gdzie zbiegają się cztery ostrza. Krzyż pochyla się groźnie; musiał chyba kilkakrotnie zmieniać miejsce, bo ściana pokaleczona jest głębokimi otworami. Może też było tak, że gwoździł te parę razy natrafiał na cegłę.

Słyszę kroki z korytarza; wchodzi on, nie pukając do drzwi; jest dość pijany, byłem na miasteczku, u dziewczyn. I trochę się zabradziażyło; najpierw nie słuchałem go, tylko przyglądałem się tej twarzy, podrażnionej potokiem słów. Potem zdania zaczynają docierać do mnie.

– cztery lata tu jestem, nas ciągle przenoszą do różnych klasztorów; w jednym miejscu nie wolno żyć, ale ja sobie raz załatwiłem przedłużanie. boje się, cholera, że mnie teraz przeniosą gdzie na prowincję, a tam się można urwać z nudów. tu się coś dzieje. i już się przyzwyczaiłem do miejsca. w zeszłym tygodniu byłem na fajfie w jaszczurach. siedzimy przy stoliku. a

tu jakaś dziewczyna mi się przygląda. nagle mówi, pan to chyba jest księdzem, kurwa. jak mnie przestraszyła. musiałem stamtąd wiać, skocze do siebie i zrobię herbaty.

Znika w przesmyku wąskich drzwi, a ja dalej leżę bez ruchu, w samotności, która łąsi się do mnie; myślę o tych dwóch najważniejszych literach – M i K, które wszystko znaczą. Matka i Kobieta. Mleko i Kwiat. Meduza i Kostucha. Macocha i Kłątwa. Miłość i Kluczenie. Mądrość i Kłamstwo. Małość i Kanibalizm. Morze i Kibel. Mizdrzenie i Kojenie. Mineta i Kołyska. Miętkość i Kilof. Międzynogi i Kobłakam. Miazga i Krew. Macica i Kamień. Myślałem o tych dwóch najważniejszych literach kobiecych, które wszystko znaczą i wszystko mówią; Kurwa i Mać.

Tak jakoś przychodziły mi do głowy te ciepłe myśli, mimo murów metrowej grubości, które oddziaływały mnie od światła.

– o żesz kurwa go mać – na korytarzu rozległ się przenikliwy dźwięk tłuczonego szkła; głos ten jeszcze długo szamotał się w pułapce ścian; on wpadł do celi, trzymając w ustach krwawiący palec, kurwa, wszystko mi się wydupcyło po ciemku; za dużo chciałem zabrać na raz, żeby się nie szwendać, dwie szklanki i cukier, i łyżeczki.

Razem zbieramy szkło i na gazetę zgarniamy cukier, który teraz słodzi tę płachtę; no i gównu, nic nie będzie z herbaty.

Zapalamy papierosy; ja znowu leżę na wygodnym posłaniu i nie rozróżniam jego słów; jestem w półśnie, który co chwilę przerywa ostry dym wdzierający się do płuc; czuję głód i nie wstając, sięgam od czasu do czasu w kierunku stołu, na którym leży ta pocukrzona gazeta; do palca przyklejają mi się ostre grudki oblizuję je i znowu sięgam.

Gdy podnoszę się, by zgasić peta, widzę na gazecie ciemne oko, otoczone białymi powiekami – to miejsce, które mnie pożywiło; rządki owadzich czcionek są odsłonięte; pochylam się z ciekawością, ucieczka od rzeczywistości – z badań wynika, że przeszło czterdzieści procent mieszkańców Wielkiej Brytanii najchętniej czyta komiksy. W ciągu ostatnich trzech lat liczba czytelników tych kolorowych zeszytów podwoiła się. Zjawisko to tłumaczy się jako reakcję na trudną sytuację gospodarczą kraju. Jest to swoista ucieczka od szarej rzeczywistości w świat uludy, w którym wszystko zawsze dobrze się kończy.

– w każdym razie nigdy bym nie zmienił tego zawodu – usłyszałem jego głos.

Resztę płachty pokrywała słodycz; zabrałem się do jedzenia, lecz głód nie ustępował.

Widziano go na terenie bazaru, ale nie stwierdzono, by czymkolwiek handlował bez zezwolenia. Kręcił się po placu i oglądał stoiska, jakby chciał coś zakupić.

Boki tego terenu były opatrzone drewnianymi budami; tu urzędowała arystokracja bazaru, której nie dosięgał deszcz. Budy były wypchane kurtkami ortalionowymi, płaszczami i kolorowymi swetrami; przeważał kolor seledynowy.

W poprzek placu ciągnęły się po ziemi szerokie koleiny różnych towarów; wszystko to było przykryte kawałkami przezroczystej folii dla ochrony przed deszczem i wyglądało jak ogromny biały tasiemiec.

Kopczyki bab sterczały nad dobrem; zręczne dłonie kupujących, którzy wylawiali spod tej folii swetry, koszule, stare buty i nowe buty, popękane plastikowe torebki, pończochy, śpioszki dzieciinne, halki, biustonosze największych rozmiarów; koło dzinsów było najciaśniej, a ich właścicielki były najmniej przystępne.

Dziewczyna drżącymi palcami dotyka spodni i kurtki, ile, kobieta przygląda się jej przez moment; a, nie chce mi się gadać nawet; ale ile – kobieta mruczy niechętnie, dziesięć, ile – dziesięć wałków, mówie przecie wyraźnie; dziewczyna odchodzi szybko.

Nie zważając na deszcz, otyły mężczyzna w długim płaszczu z jedwabiu spadochronowego wykrzykuje w tłum:

– ile krawata nabrudzisz, a kołnierzyka. każdy jeden wie. wszystkiego unikniesz tego, kupując automatycznego amerykańskiego automata do zawiązywania krawata. wykonuje cztery podstawowe czynności. goli, pierdoli, usuwa ciężę i krawaty wiąże – wyciąga w kierunku ludzi jakieś pogięte druty.

– maść na szczury!

– jak się używa.

– normalnie. bierze się szczura za tylne, smaruje się pod pachami. i szlag go trafia. szczur się w domu nie zalęgnie.

– ale jak ja go już mam. to można pierdalać trzonkiem. nie?

– a można. są różne sposoby.

Na sam koniec tego świata pouciekali ci, którzy żyją tam teraz bez rozgłosu i powoli; nawet ich tam nie widać, bo ukryci są pod hałdami tych swoich śmieci, których nikt nigdy nie kupuje. Połowa starej opony samochodowej. Rękaw płaszcz przeciwdeszczowego. Pogięta pokrywa garnka. Wykrzywiony obcas damskiego buta. Guzik z kurtki wojskowej, na którym zamglony licznymi dotykami orzełek z koroną. Zepsuta sprzączka do paska. Dwie połamane szprychy. Zardzewiała obręcz na beczkę. Scyzoryk bez ostrza. Brudna, obtłuczona butelka na mleko. Przycisk kontaktu elektrycznego. Kilka kartek nie istniejącego dziś tygodnika. Zgięty tekturowy daszek czapki. Czyjeś zamazane zdjęcie legitymacyjne. Dziesięć carskich kopiejek. Wyszczerbiony garnuszek. Wykałaczką. Kawalek dzwonka rowerowego. Do połowy wypalona świeca. Okładka szesnastokartkowego zeszytu. Pół płyty gramofonowej. Wytarty uchwyt aktówki. Agrafka. Pudełko po zapalniczkach.

Serce dzwonka. Dusza żelazka. Skamieniała brudna głowa cukru. Włos do zegarka. Nosek pedału rowerowego. Szyjka flakonu. Plecy szafy. Klatka na motyle. Żeberka kaloryfera. Nóżka trójnogu.

– ile ta zakrętka do długopisu? ile do odebrania?

– siedemset dwadzieścia – odpowiada człowiek.

Podał tę cenę tylko po to, by mieć pewność, że nikt się nie zdobędzie na odebranie mu tej zakrętki, do której zdążył się przyzwyczaić przez cztery czy pięć lat.

– siedemset dwadzieścia?

– nie, nie. osiemset dwadzieścia – odpowiada z obawą.

Stwierdzono, że przebywał na bazarze aż do zmroku. Do czasu odejścia ostatnich ludzi. Później rozpytany przez strażnika, co tu robi, wyszedł na ulicę.

Blisko krawężnika przemknęła się suka milicyjna. Jechała wolno; wyglądało to tak, jakby się poruszała z rozmysłem. W głębokiej zadumie.

Gdy znalazła się pod słupem oświetleniowym, jarzeniówka sypnęła piaskiem w oczy sierżantowi, przyrośniętemu do kierownicy. Był bez czapki, ale na jego głowie została nie zatarta forma – obręcz śladu odcisnięta na włosach i krwawa pręga pod brodą od paska, jak po gwałtownym pociągnięciu brzytwą.

Suka oswobodziła się od dotyku światła i twarz sierżanta, wymodelowana cieniami jak do fotografii paszportowej, poszła w niepamięć.

Jego plecy, jak po nagłym ciosie, mogły się teraz prostować powolnym ruchem stratowanej roślinności.

Powoli, krok za krokiem, oganiało go śpiewne światło lamp.

Przed wejściem do redakcji wstąpiłem do baru mlecznego; to miała być zagrycha pod te wszystkie wypalone papierosy i pod te, które miały dopiero iść z dymem.

W kolejce stał żebrak o uczciwej twarzy i oczach nawiedzonego, ogarniętego szaleństwem od tej chwili, która przyniosła mu prawdę.

– duże mleko. żeby mi było gorące.

Barowa dosypuje ukradkiem garść cukru, by z uczuciem spełnienia odezwać się do kasjerki, cukru mu nasypałam, a jak, ja tam nie żałuje, takie już serce mam; jak co, to cukru nasypie.

Tamten wrócił z mlekiem do kontuaru, cóżeś mi, kurwo, bawarki naląła? Złodziejstwo jedno.

– pyzy pyzy; pokaż pani te pyzy. pyza pyzą, ale trzeba je zobaczyć. to te niby z kartofli. za stówę się zje, a głodny. pokaż pani te pyzy.

Kobieta oddaje talerz, to same kości, a nie gulasz. Same kości!

Ktoś w kolejce wybucha chorym śmiechem, ona grymasi! Jeszcze im za dobrze jest!

Spokojnie wszedłem do bramy numer dwadzieścia pięć i minąłem klub twórców i działaczy kultury zetemes.

– ja zrobię ten reportaż o wernisażu w fabryce. oczywiście. już to robię. byłem tam parę razy. ale mam też inny temat. o jednym niewidomym, i jemu za granicą zrobiono operację. miał trzydzieści lat, jak zaczął widzieć. i pije. wszystko wyobrażał sobie inaczej. kochał żonę, gdy ją dotykał. okazało się, że jest koszmarna. a kochał ją rękami. kolorowy dom. przepiękni ludzie, bo na przykład kolory to on pamiętał. zaniewidział, jak miał kilka lat. no i pije. a potem rozkłada białą laskę, wkłada czarne okulary i wędruje z zamkniętymi oczami. więcej coraz pije. jak ludzie mogą żyć w takim świecie, więc mógłbym o tym napisać.

– to kiedy indziej zrobisz sobie. na razie o wernisażu. i to szybko, bo się numer zamyka. a o tamtej sprawie to sobie machniesz kiedy indziej. idź do pokoju, bo tam czeka jakiś facet na ciebie.

Cicho otwieram drzwi, ale ten oczekujący słyszy to wyczulonym słuchem i błyskawicznie się odwraca w moją stronę.

– to jest taka towarzyska rozmowa. ale od tego cała sprawa zależy. to jest, nie to chciałem powiedzieć. z troską podchodzimy. interesujemy się różnymi sprawami po prostu. niedługo to kolegium, tak? teraz są ostre kary. mieszkania pan przecież nie ma.

– no nie mam.

– kochany, na pewno pan będzie miał. wcześniej albo później, a ten klasztor...

– już mnie wypierdolili stamtąd.

– wiemy. chciał pan wprowadzić pewną kobietę za klauzurę i złapali pana. ale że pan się zdecydował na takie miejsce zamieszkania... że tak powiem, sprzeczne z naszymi aktualnymi...

– ale to oni mi dali mieszkanie u siebie.

– i odebrali. a nie wie pan, dlaczego dali? jaki pan dziecinny. przecież wiadomo, jaki mieli w tym cel.

– nie odebraliby. gdyby nie ta pani. ona chciała zobaczyć, jak mieszkam. czy to ja jej chciałem pokazać. coś w tym rodzaju żeńskim w każdym razie.

– mieszkanie będzie pan miał wcześniej albo później.

– nie mam szmalu na spółdzielnie.

– no widzi pan? a jak jeszcze dymną panu na kolegium najwyższą grzywnę? może nawet areszt? a pieniądze pan lubi wydawać. na bazarze pan był. takie ceny tam teraz.

– przecie pan wie, że nic nie kupowałem. tam chodzi taki jeden mały realista i myślałem, że go spotkam.

– ale mógłby pan coś kupić, tak. tu się niewygodnie rozmawia. może się spotkamy w innym miejscu. gdzieś za parę dni, na przykład w kawiarni.

Wychodzę na korytarz i otwieram drzwi do innego pokoju. Potem wracam do szóstki z gońcem i mówię mu, to jest właśnie pan kolega, przyniósł dwa poematy do oceny; jeszcze nie drukował, ale bardzo obiecujący jest. może się nim zajmiesz, bo ja nie mam teraz czasu; muszę zasuwać do tej fabryki na reportaż. tylko nie bądź za surowy – zostawiam ich obu i szybko zamykam za sobą drzwi.

Widziano go na rondzie przy alei Pokoju, w pobliżu zakładów Szadkowskiego. Właśnie pełniący służbę funkcjonariusz zatrzymał nieprzepisowo poruszający się pojazd, typu samochód osobowy fiat. On stał obok i przysłuchiwał się rozmowie.

Za kierownicą siedział młody chłopak i bez przerwy mówił do zmęczonego milicjanta o twarzy zmiętej jak gazeta popołudniowa.

– to trzy paczki pęknie.

– proszę pana, więc ja tego, jacy, pan mnie zatrzymuje, a ja się zupełnie nie spodziewałem, bo właśnie poprzednio na skrzyżowaniu stoje na światłach, tu wyjeżdża warszawa...

– dwie stowy.

– wysiadł mi silnik i musiałem naprawiać, niech pan zobaczy, jakie mam całe ręce usmarowane; nie wiadomo, jak to teraz domyć; w ogóle ja studentem jeszcze jestem i niedawno, jak jechałem, pamiętam, że mi się benzyna skończyła; do narzeczonej, wtedy mieszkałem; więc stoję na tej szosie, pusto, deszcz leje, nic nie widać, żadnego samochodu... zawierucha...

– stowa.

– ja student jestem, wie pan, szmalu całkiem nie mam, a jeszcze ten samochód; ile to zżera; pięć dych jakby, dobrze będzie?

Widziano go w świetlicy zakładów Szadkowskiego; siedział z boku przy stoliku, przyglądał się temu, co się działo, i pisał tekst w niebieskim zeszycie. Tekst był następujący:

W sali konferencyjnej zakładów Szadkowskiego krzatali się różni mężczyźni, przeważnie brodaci, i zawieszali na drucikach obrazy w przepięknych ramach. I tak, i siak; cofali się parę kroków, oglądając całość. Z przekrzywieniem głowy. Paru robotników też się zeszło; stali z boku, przyglądając się z upodobaniem.

– a weźcie obrazy tego artysty, co miał tu wcześniej wystawę, tego batrucha, i teraz naszych. tylko weźcie i poprzyrównywaszcie. tamta kobita u niego. niby nazywa się w stanie błogosławionym. to jakaś aureola powinna być, jakieś coś, a dopiero postać.

– może sobie pani teraz przyrównać. Obrazy na zakładzie i to. z tamtego nic nie kapuje. powinni to z jakimiś objaśnieniami powiesić. czy jak.

– ta kobieta w ciąży. kamień jaki trzymała pomiędzy nogami? sama nie wiem. bez tła kolorystycznego wszystko wyszło.

Malarze mocowali na drucikach swoje Trojki, Górskie potoki, Potoki zimą, Kościółek drewniany. Portret chłopca, Portret dziewczyny. Nawet jeden akt się znalazł – plecy kobiety.

– co ona taka gruszka? i czemu od tyłu wzięta?

– jaka gruszka? kobieta ma taką anatomikę. pooglądaj sobie swoją babe. to będziesz wiedział.

– jej tło czerwone. wygląda jakby dopiero co wracała z kąpieli. żeby czystość zyskać. a kobieta w ciąży to błogosławiona jest. a nie jakaś pokraka.

ten potok to byś dał na górę, babkę wyżej, pod sukiennicami – koło wschodu słońca. a koniowi trzeba by grzywę wypuścić. albo go skrócić. baba jest jak najbardziej na miejscu.

– ja bym tych artystów tu sprowadził i im pokazał, jak się maluje. chybaby się tu wstydzili wejść.

– e, no nie. tak to oni też potrafią. w okresie akademickim tak malują.

– potrafią, potrafią. to niech tu przyjdą i pokażą, co potrafią.

Na ten wernisaz u Szadkowskiego to się dyrektor nie chciał najpierw zgodzić, ale w końcu się zgodził, tyle że na czas przygotowań wziął urlop. Autor scenariusza przepięknie opisał całą imprezę w zaproszeniu. Z okazji wielkich świąt ludzie się odwiedzają, składają sobie życzenia... Taką uroczystą wizytę złożą w trzydziestą rocznicę zakończenia II wojny światowej krakowscy Artyści – Załozdce Zakładów im. St. Szadkowskiego. I nie przyjdą z pustymi rękami: do fabryki zawita ich twórczość. Obrazy, rzeźby i grafika opuszczą w tym dniu zaci-

sze muzeum i pracownie twórców, by wejść do hal produkcyjnych, pomiędzy marzymy i narzędzia, by znaleźć się w środowisku pracy, w atmosferze wielkiego przemysłu, którego są estetycznym i ideowym – humanistycznym wyrazem. Nie chcemy wcale, aby sztuka była tylko dodatkiem do życia, jego luksusową ozdobą – chcemy, aby wyrażała i współtworzyła naszą rzeczywistość. A więc – również rzeczywistość fabryki. Jej wszyta będzie pierwszą w Polsce – na taką skalę – próbą przełamania sztucznego dystansu między życiem przemysłu a życiem artystycznym.

Bardzo to było trafnie ujęte i jak gdyby skądś znajome i nawet wszystkich przekonywało, ale dyrektor wziął urlop, bo wolał nie oglądać tego co się zaczęło dziać w fabryce. I robotnicy też nie mogli się nadziwić, ale wszyscy urlopów wziąć nie mogli, więc tylko przyglądali się z podziwem. Fabryka, bez przepustki człowiek się nie ruszy, a pełno obcych. Od razu można rozpoznać. Jak z brodą, to plastik. Albo przynajmniej długie włosy. Poszarpane ubrania.

Ten w czapce to ze złomu ma coś sklecić. Jakąś rzeźbę. Kurde flak! Ze złomu!

Taki wydział montażowy. Ogromne rusztowanie. Ci, tam na górze, co się tak uwijają z farbami, to Buczyńska i Gabrysiak.

– podobnież całą ścianę mają zamalować?

– całą.

– a panie, powiedz mi pan, on to będzie malował, czy pistoletem.

– częściowo pistoletem.

– pistoletem. to ja widziałem film taki, anioł michał, on tak samo malował, tylko że ręcznie. cały kościół potrafił odmalować pędzelkiem. i w książce też czytałem o nim. tak że pistoletem to każdy może spryskać.

Nazywa się to dzieło Interwencja zielenią. Bardzo piękne i cenne, bo zostanie na ścianie hali po odejściu artystów. Niestety będzie umierać i niknąć pod ciężarem osadów fabrycznych. I zniknie, kiedy się do niego przyzwyczają ludzie. Jakiś czas to potrwa, zanim się przyzwyczają, i wtedy zniknie. Bo na razie nie bardzo wiedzą, o co chodzi.

– co to przedstawia? że niby człowiek czy co?

– ja to bym nie chciał takiego w hali, bo bym się cały czas wkurwiał przy robocie.

– a ja bym chciał. nic bym nie robił, tylko się gapił.

Przy ścianie innego budynku czterech ludzi. Też rusztowanie. Dwóch ma brody albo trzech. Malują jakieś sześciany. I potem odrysowują swoje sylwetki, które na te sześciany układa cieniem słońce. Batruch, Kiwerski, Puchalik i Wsiołkowski. To także zostanie w fabryce. Ten trwały ślad, jak paplał autor scenariusza. Przełamanie barier.

– jak do tego podejść? – pyta robotnik. – te kolory troche ciemno oddane. ale dobre jak się wpatrzyć. coś się tu napotyka. żeby jeszcze twarze odmalowali wyraźniej. wtedy tak. ale lepsze jaja są. na pe dwa maszyny pakują w papier.

Poruszałem się w różnych kierunkach. w labiryncie fabryki; trudno było znaleźć stąd wyjście, gdy się patrzyło na robotnika przy maszynie, który, jak chory na śpiączkę, wykonywał pięć ruchów; dwa lewą ręką i trzy prawą; pomyślałem o tym, jak ten człowiek wędruje poza ogrodzeniem terenu; dłonie mężczyzny poruszały się tak jednostajnie, jakby w płaszczyźnie powietrza wycięto dla nich szablon, którego nie da się ominąć; do emerytury brakowało mu koło czterech lat.

Fabryka pulsowała hałasem, który usypiał. Przez zamglone szyby okien budynku biurowego widać było twarze urzędników, nieruchome jak krzesła.

Jest wolny dzień od pracy. W kantorku mistrza, w tej bańce powietrza, odkrojonego od hali za pomocą kilku płyt pilśniowych, gotuje się woda w czajniku; mistrza nie ma, a para, która zaczyna wypełniać przestrzeń, pokrywa szkło na biurku pagórkami kropel, które wy-

glądają jak brodawki. Tafla pokrywa się mgłą; kontury twarzy na zdjęciach umieszczonych pod nią zaczynają znikać, znika też biała pocztówka z obrazem wydm; wchodzi mistrz, nie mam kim robić, kilku ludzi ciągle mi brakuje, mówi obolałym głosem.

Siadam z boku i otwieram zeszyt, żeby dalej pisać ten reportaż o ludziach, którzy się tu nagle w fabryce, pojawili; nie są dość pewni i mają poczucie braku wygody, jak w nieznanym miejscu, jak w obcym powietrzu chłodnego kościoła. Przyglądają się robotnikom; robotnicy także ich obserwują; ci ludzie nie widzą się jednak nawzajem, bo oddziela ich matowe szkło.

Maszyna jest ogromna. Teraz, w wolny dzień, milczy. Wyznaczono robotników na nadliczbowe, to przyszli. Kazali pakować, to pakują.

– tylko że jak to pakować? tak czy tak?

Maszyna ma ze dwa piętra. Porczak polecił zapakować. Poszedł kończyć rzeźby, które ustawi potem na szczycie.

– na chuj my te maszyny pakujemy. zabierają ją gdzie? czy jak? i jak to pakować, cholera.

Kleją arkusze w długie białe strugi, które spływają w dół, aż spod stropu hali. Po paru godzinach maszyna wygląda jak wielka paka. Są nawet zadowoleni, bo wykonali pracę.

– jakby to majster zobaczył, to by go nagła krew zalała.

– albo by sobie stał i patrzył. majster to by tu coś wyczytał, w tej rzeźbie.

– w jakiej rzeźbie.

– plastik mówił, że rzeźba.

Za chwilę będą pakować jeszcze raz. Źle zrobili. Przecież każde dziecko wie, na czym polega apaketaż, dziwi się komisarz wernisazu. Jak można tego nie wiedzieć?

Na razie jest bałagan. Samochody krążą między fabryką i pracowniami. Robotnicy wyładowują obrazy.

– takiego to bym za boga nie powiesił w domu. musiałbym ciągle pić albo co. z tych nerwów.

– kosztuje czterdzieści tysięcy.

– ile?

– czterdzieści.

Robotnik przystaje i patrzy na obraz. Czterdzieści. A czemu czterdzieści akurat. To musi przedstawiać jakąś ważną sprawę. Chyba tak musi być. Bo płótno i farby pare stówek.

W odlewni, w boksie, Kruczek ustawia w piachu rzeźby. Na środku metalowy zwierzak. Części do tego żywego organizmu wybierał z kilkoma robotnikami.

– z tego resora to nic nie będzie.

– zobaczy pani czy nie. Z haków będą nogi.

– no, są... to ja bym też takie potrafił.

Teraz stoją z boku. I szept.

– ktoś na tego zwierzaka nasrał w nocy.

Artysta podnosi głowę. Nic się nie stało. Reakcje są bardzo różne. W tym bloku, gdzie mam pracownię, już się przyzwyczaili. A na początku to chyba myśleli, że handluję metalem. Na Podgórskiej mam składnicę złomu. Tam wybieram i kupuję. Chodzę i wybieram, co mi potrzeba. Kiedyś kierownik zobaczył mnie w telewizji i przylatuje. Dawniej patrzył na mnie bardziej niechętnie. Panie profesorze, czemu pan nie powiedział, że to pan. Zaraz zawołam chłopaków, to wszystko wybiorą. Przyleciało paru, wleźli na kupę złomu i tylko pokrzykują – nada się panu profesorowi ten metalplastyk? A ta sztyca? Kierownikowi podarowałem jeden relief. Najpierw wisiał w tym jego biurze, to go pomalował na różne kolory. Bardziej wesołe. A później pusta ściana. Na imieniny szwagrowi zaniósłem, bo nie wiedziałem, co kupić. Inni krawaty poprzynosili, takie różne tam, a ja to. Śmiechu było, że niech to piorun strzeli.

– różne są przyjęcia. tego, co robię. więc nic się nie stało.

Obok drzemie w piachu rzeźba w betonie. Podczas wernisażu będzie piaskowi wyrwana i odwrócona. Ta właściwa strona jest teraz ukryta. Obie rzeźby będą przekazane fabryce. Artysta będzie poszukiwał przez mikrofon dyrektora, by ofiarować dzieła. Będzie też potrzebna szczotka do odmiecenia piasku z betonu. Nie ma ani dyrektora, ani szczotki.

A na razie organizatorzy się boją. Czy przyjdą jacyś ludzie? I ilu? Jest wolna sobota. Ciągle pada deszcz. Ilu ludzi się zjawi?

W stołówce bufet. Cukierki. Herbatniki. Czerstwe bułki z bibułą szynki za pięć złotych. W innym miejscu stoisko z książkami o sztuce.

Nie ma zespołów muzycznych. Jeden zawarł podobno w ostatniej chwili korzystniejszy kontrakt. Inny też nie załatwiony. Któryś z pomocników organizatorów wpada na pomysł, żeby autor scenariusza przekazał parę tysięcy ze swojego honorarium na skuszenie zespołu. Ale boi się zaproponować, bo autor jest zdenerwowany i krzyczy. W końcu będzie jakiś zespół z danciszowymi kawałkami. I przyjdą także ludzie. Z rodzinami. Dużo twarzy znanych z przeróżnych imprez. Ci, którzy bywają tam, gdzie trzeba bywać. Trwają spory o ilość robotników. Jedni mówią, że dwustu. Inni, że trzystu. Jeszcze ktoś próbował liczyć i wyszło mu sześciuset.

Widziano go w lokalu redakcji; była piąta rano; on leżał na bordowym chodniku, z farbą pod głową, i spał na tle włączonego piecyka elektrycznego, imitującego kominek, z domalowanym jasnoczerwonym płomieniem.

Na biurku leżał maszynopis z gotowym reportażem; wśród kartek był ciąg dalszy tekstu, a ostatnia strona w ogóle nie była wykrecona z maszyny.

W wielkiej hali wydziału mechanicznego obrazy wśród maszyn. Przywieziono je z Muzeum Narodowego. Na razie nikt nie ogląda, bo są przemówienia. Że tak trzeba. Że pierwsza w kraju. Że kontynuować. W przyszłości także. Dziennikarze. Fotoreporterzy. Telewizja z Warszawy i z Krakowa. Kronika Filmowa. Podziękowania dla dyrektora.

– prosimy państwa do korzystania z pomocy naszych uroczych hostess, wybranych wśród najpiękniejszych dziewcząt. hostessy można poznać po znaczku z napisem hostessa.

Rozdają kwiaty. Długi wąż ludzi rusza za wózkiem akumulatorowym, z którego przemawia przed mikrofon zręczny konferansjer. Nikt już się nie dziwi. Robotnicy pokazują żonom maszyny.

– to ty tu pracujesz.

– tu robie.

Tłum wkracza do hali odlewni. Panie podwijają nogawki, by je uchronić od pyłu. Tu nastąpi największy szok. Wśród ludzi przeciska się z drewnianym wózkiem Jerzy Bereś. Jest nagi, tylko biodra przesłaniają mu dwa kawałki drewna. Kobiety odciągają dzieci, ale same spoglądają ciekawie, zatykając usta kułakami.

– chudzina taka...

Bereś ustawia wózek i podchodzi do stołu. Chleb i nóż. Kroi kromki i maluje je na niebiesko.

– artysta maluje kromki na niebiesko – zapowiada konferansjer.

Potem przy długim stole rozlewa wódkę do setek. Przed wernisażem jeden stakan zaginał. Rozlanie i poprzeczna czerwona linia na ciele. Dwanaście razy.

– artysta dzieli ciało na dwanaście części – mówi konferansjer. – ołtarz piękny i ołtarz czysty. a przy wózku można sobie odbijać na przygotowanym papierze specjalne odbitki.

– i dla mnie! mnie trzy pieczątki!

Twarze pełne skupienia i wzajemnego zrozumienia. To ci, którzy bywają tam, gdzie trzeba bywać. I twarze pełne pytań.

– to niby, że on taki chudy i chce pokazać siebie, żebyśmy nigdy nie zapominali o obozach.

– ale to jakiś starszy gość, nie? a ten wózek to on zabiera ze sobą?

Twarze pełne pytań. Zapobiegliwi tłoczą się przy wódcę. Robotnicy rozchodzą się po halach. Fabryka milczy. Dzieła sztuki też milczą i nie chcą do nich przemawiać. Czasem wybuchają śmiech.

– a ta naciągana firanka? to jest dobry numer.

Kontestacje Pappa. W paszczy dwóch par grabi jedna z bułek za pięć złotych. Szynka gdzieś zniknęła. Widelce wycelowane w talerz. Rozwarte obciążki. Odwrócona drabina na stołku.

– też moge takich w domu narobić, jak będę chciał. druty z migaczami. skórzane slipy z lampasami. czapka uszatka z kierownicą. majster z anteną. jaja w beretach. też jestem artysta, tak? tokarka w nausznikach!

W tej samej hali dokumentacja fragmentu procesu produkcyjnego. Fotoreporterka z południówki zrobiła zdjęcie rąk robotników w czasie pracy. Później jeden z tych robotników odniósł do biura światłomierz, zapodziały w szale twórczym. Przed zdjęciami gipsowe odlewy dłoni, wykonane przez małżonkę autora scenariusza. Gesty powtórzone z fotografii. Dłonie są delikatne, nie poradzone żyłami. I martwe jak te na papierze światłoczułym.

W innym miejscu Batruch. Ułożono tu odlewy korpusów maszyn pomalowane jaskrawo. Zebrani otrzymują kwiaty z bibulek, które umocowują teraz w różnych miejscach.

– ładnie pomalowane, ale naprawdę to tak nie może być. kwiat biore na pamiątkę.

– taka pstrokata by nie przeszła przez kontrol techniczną.

Tu jest mniej pytań. Tu robotnicy czują się pewniej. Szarość hal, której nie pokonują barwy.

Pytania zjawiają się gdzie indziej. Grupa Q. Malują tryby farbą drukarską i odbijają kontury na białym papierze. A przed halą Lewczuk. Oczy śledzą jego ruchy. Wzrok przenoszony ze sterty gałęzi na ogromny ekran, na którym zielona farba z rozpylacza zostawiła ich ślad. Teraz są cięte na kawałki i pakowane do plastikowych torebek. Każdy może sobie zabrać torebkę. Na pewno? Żeby potem nie było. Tylko po co zabierać. Etykiетка jest w środku. I tam wszystko pisze. Element dekoracyjny. Surowiec do dalszego procesu technologicznego. Do palenia w piecu. Jako niepotrzebny odpadek. Przypomnienie wcześniej rosnącego drzewa.

– na co mi jak mam gaz w domu? a i tak świeżym nie napali.

– narąbali gałęzi i mądrzy. narąbane gałęzie.

Jest też kiermasz dzieł sztuki. Obrazy, grafiki. Plakaty. Dziewczyna kupuje zafrasowanego świętka. A co.

W kuźni Budzisz–Krzyżanowska recytuje wiersze Ficowskiego o Tadeuszu Makowskim. Krzyżanowski czyta jego pamiętniki. Na stanowiskach płonie koks. Ludzie w rzędach krzesel. Nawet to jest coś. Mówią jak ludzie. Na stalugach obrazy malarza. Jest ciepło i nie pada. A życia w tej Francji to on nie miał. Ładne obrazy, tylko troszki kanciaste. Ale podobne do ludzi. A pamiętacie obraz z takim wielkim cycem? Dwa na dwa? Podobnież kilkanaście kawałków. Dajcie spokój.

Setki obrazów. Wiele akcji plastycznych. Nie bardzo wiadomo, na czym zatrzymać oczy. Ludzie popatrują tu i tam. Atak form. Ludzie są przygaszeni. Mniej się śmieją. Ilość przygniata. Nie pozwala na chwilę wytchnienia.

Minęło kilka godzin i przyszło zmęczenie. Większe niż po paru dniówkach. Zapełnia się brama wejściowa. Najlepszy był ten teatr chyba, nie? A, teatr tak. Może cie w telewizji pokażą. Idź ty!

Kamer już nie ma. Bywalców także nie. Plac pustoszeje od zmęczonych ludzi.

Zostają tylko wyznaczeni robotnicy i natychmiast rozpoczyna się demontaż. Trzeba zdążyć przez niedzielę. W poniedziałek zakład musi normalnie pracować.

W sali konferencyjnej, wśród obrazów samorodnych talentów, zebranie z dyrektcją. I jest propozycja autora scenariusza. Trzeba koniecznie zbadać, ile po wernisażu wzrosła wydajność pracy. to nam da obraz.

– to raczej niemożliwe – broni się dyrektor. –poza tym jeszcze taka sprawa. gdyby była następna impreza tego typu, to nikt na nią nie przyjdzie. bo ludzie by pomyśleli, że ja tu chce w ten sposób podwyższać normy. o to chodzi.

Do redakcji weszła kobieta; była to sprzątaczką; gdy go zauważyła, z hałasem odstawiła wiadro; on miał otwarte oczy, bo usłyszał przez sen głos obcych kroków; znowuż? znowuż jakieś bajzele?; kobieta krzyczała z nienawiścią. ja nie bede tak pracowała, jak mi tu sie przeszkadza i przeszkadza, dzie indziej tego nie ma, zasrana robota taka, że niech bóg broni; do derechtorą pójde, wszędzie pójde; on nie ruszył się z miejsca, był blady i słyszano, jak powiedział do niej, odejdz, kurewski demonie.

Byłem na Rynku w dużej grupie ludzi, otaczających pomnik Mickiewicza i może dlatego miałem wrażenie, że jestem sam. Trwała noc poetów, którzy na wiatr i na deszcz recytowali zebranych ludziom swoje wiersze.

Stali na cokole pomnika, ale ani na moment nie pozostawali bez ruchu; każdy z nich powoli i nieznacznie wspinał się coraz wyżej. Jak najwyżej, aż ku samotnej postaci, z uniesioną dostojnie białą głową. Ta nieskazitelna biel kamiennych włosów spowodowana była przez odchody licznych gołębi, które obrały sobie akurat to miejsce i systematycznie z niego korzystały.

– ułani! do ułan bator – chrząkał poeta w mikrofony, ustawione na cokole, i wytrzeszczał oczy na zaniepokojonych widzów. Potem zostawił to miejsce dla innego poety, który miał teraz swoją kolejkę, czyli momencik, i musiał je zająć, niechętnie opuszczając korzystniejszą pozycję.

Była chwila, że to miejsce dość długo pozostawało wolne. Wtedy wszystkie głowy uniosły się; poeta, na którego wypadła kolejka, zabrnął najwyżej; był w karkołomnej pozycji u stóp wieszca; tkwił tam, rozpaczliwie przytrzymując się kamiennej sukienki. Wiedział, że za chwilę będzie musiał opuścić skalną półkę i taka myśl musiała mu sprawiać wielką przykrość; chwilę trwał nieruchomo, a potem niechętnie zaczął opuszczać się w dół. Kamienne elementy pomnika były mokre i śliskie i ten poeta zachwiał się nagle, stracił równowagę i runął w dół, w piki mikrofonów, przewracając je wszystkie. Z głośników gruchnął głos gwałtownej burzy, która przetoczyła się po ścianach domów.

Technicy radiowi wyplątali poetę ze skłębionych kabli. Ku miejscu, które tak gwałtownie opuścił, piął się teraz ktoś inny.

A tamten, stojąc już na pełnych nogach, mamrotał w zepsute mikrofony, z zawiścią spoglądając za siebie, w górę.

Później była jeszcze głębsza noc, asfalt w deszczu lśnił jak ostrze i było przy tym tak pusto, jakby miasto pochłonęło mieszkańców.

Stałem u źródła ulicy Szewskiej, na ścianie narożnego domu zauważyłem gablotkę towarzystwa astronomicznego, wypchaną jak ptak kolorowymi zdjęciami z lądowania ludzi na Księżycu. Kilka kroków dalej płonęła witryna, w której unosił się manekin kobiety, oblepiony popielatym płaszczem z laminatu.

Błądziłem w dół ulicy; ze środka koryta jezdni musiałem zejść na chodnik, bo usłyszałem za plecami mruczenie silnika samochodowego. W świetle reflektorów mój cień wydłużał się gwałtownie, jak w odruchu strachu.

Samochód przejechał obok mnie; była to duża chłodnia, która rozwozi mięso do sklepów; w połowie ulicy kierowca zastopował, zatrzymując swą lodówkę. Z szoferki wysiadło dwóch ludzi w czerwonych kitlach; spod tej czerwieni prześwitywała miejscami pierwotna biel,

stłumiona późniejszymi mordami rytualnymi. Widziałem tych ludzi w świetle lamp dokładnie; zbliżałem się do nich powoli; oni podeszli do opancerzonych drzwi, umieszczonych w tyle wozu, i zaczęli się szarpać z zamkiem. Uchyłili je i nagle odskoczyli na boki; z samochodu chlusnęła na asfalt szara struga białych kości; głos, jaki wydały te kości, przypominał stukot kropel martwego deszczu; widocznie aluminiowe pojemniki w samochodzie przewracały się w czasie tej hazardowej jazdy i ci ludzie nie potrafili teraz zapobiec katastrofie.

Zatrzymałem się. Fala tych białych kości przywarowała mi u stóp. Dwóch ludzi w czerwonych fartuchach stało bezradnie; kości stłumiły czerń asfaltu na całej szerokości jezdni, a oni nie bardzo wiedzieli teraz, jak się do tego zabrać.

Objąłem to pole bitewne wzrokiem i odezwałem się.

– alea jakta est?

– co? – popatrzyli na mnie zaskoczeni.

– alea jakta est? – powtórzyłem z uśmiechem.

– ty, zagraniczny jakiś. francuz.

– kiego grzyba może chcieć?

– może nie wie, jak trafić do hotelu. do krakowii.

– ty. może on dolce ma. by opylił.

– a szmal masz?

– dolary, dolary – powiedział wyraźnie człowiek w czerwonym fartuchu.

Nie odezwałem się.

– dolary – odpowiedział drugi.

Milczałem.

Wtedy ci dwaj zaczęli mi tłumaczyć, jak się dostać do hotelu Krakowia. Mówili powoli, dokładnie wymawiając wyrazy; ludzie mówiący w ten sposób – powoli i dokładnie wymawiając wyrazy – są przekonani, że zostaną zrozumiani przez obcokrajowca.

Więc tłumaczyli mi, stojąc po kolana w tych kościach i powoli coraz dokładniej wymawiając wyrazy, jak mam dojść do hotelu. Ja patrzyłem na nich.

Potem odwróciłem głowę. Odwróciłem się i bez słowa ruszyłem we wskazanym kierunku.

